

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 15 lutego 1953 r.

Nr 7 (393)

W 10 rocznicę ZWM

MŚCICIELE

Z popiołów mściciele powstają
Zrodzeni przez rozpacz i ból,
To na nas miliony czekają
Rodaków ginących od kul.

Nam dzieci z domów wywala
Faszystów banda złowroga,
A drogę walki wskazała.
Zagród rodzinnych pożoga.

Hańbę bezczynny czas zetrzeć,
Czas oręż wziąć, bracia, w dłonie,
Oświeć nas dzisiaj przyzywa:
Do bron! Polacy, do bron!

Lubelskie, Zamość i Trebлінkę
Niech wróg w pamięci zachowa.
Za Pawlak, Wawer, Majdanek
Zapłaci mu Armia Ludowa.

Wiersz ogłoszony w „Walce Młodych” Nr 2, z dn. 6.III, 1943 r.

1944

Wciąż silniej z rokiem nowym
pod niebo, od chmur ciężkie,
uderza krok nasz miarowy
i pieśni nasze zwycięskie.

Spróbujesz — Nowa Wiosna —
potęgę naszych ramion,
czy — co dzień w trudzie rosnąc —
przeszkody złamiesz.

Niech czas nam dalej milczkiem
kłody pod nogi układa.
Nie zwiodą nas doly wilcze,
nie złamie nas lęk i zdrada.

Oto przed nami trud nowy:
nowe miasteczka i dni.
Oto — jak zawsze — gotowi

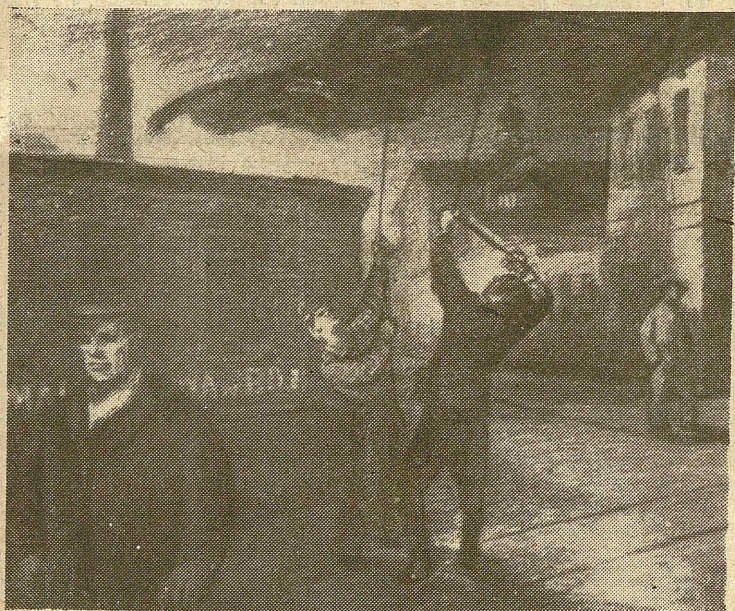
dźwigniemy ręce i głowy —
ponad siebie stanemy, to my...

Władzą nam ręce — a przecie
peł tyle w rękach nam przysło.
Na szerokim, słonecznym świecie
trwa nasza walka
o przyszłość.

Każdy z nas, milionowych braci,
z miast czarnych, z jasných niw,
doczeka w gromadnej pracy
stokrotnych żniw.

Blask, co nad nami świeci,
człoa otoczy nam kręgiem.
Roku niełatwy... Bywaj! Powitaj!
milczącą, roboczą potęgę!

Wiersz ogłoszony w „Walce Młodych” Nr 2, z dn. 25.I, 1944 r.



WŁADYSŁAW STEPIEN

Pokolenie Korczaginów

POTRZEBĘ bohaterstwa stwarza rzeczywistość, a nasza epoka zna ją od dawna. Przekazał nam ją Pawła Korczagin, ogłaszając triumfalnie w swoich ostatnich słowach, że nareszcie marzenie stało się rzeczywistością! Nad Uralem rozbiły się ognie wielkich pieców Magnitogorska, a w ciemnej rzece Amur odbiły się światła nowego miasta — Komсомolska. Przechodząc niełatwą drogą, pełną ofiar i samozaparcia, Korczagin nosił w sobie świadomość zwycięstwa. Przekazał nam ją wraz z potrzebą bohaterstwa.

Nasze marzenia stały się rzeczywistością dopiero w 1944 r., kiedy nad brzegiem Wisty stanął żołnierz Armii Czerwonej, młody chłopiec z dalekich stron, noszący legitymację komсомolską w kieszeni. Życie zmieniło się wtedy w walkę, nieprzerwane pasmo wysiłków przekreślenia przeszłości, która dawała jak pętlę. „Ta rewolucja łagodna jak szuja łabędzia” — pisał młody poeta zapominając o przelanej krwi działaczy PPR-u i ZWM-u. Tymczasem codziennie zwiększała się lista ofiar, tak jak codziennie na miejsce zabitych przychodzili nowi, twardzi, nieustraszeni i zwycięscy. „Żelazny pierścień” kapitalizmu został rozzerwany, z opłotków wiejskich, z zaułków dzielnic robotniczych przyszła młodzież, aby stoczyć „bój ostatni”, tym razem o nowe uśpienie życia, w którym bohaterstwo krew przemieniło się w potrzebę bohaterstwa pracy.

„Jest tyle bogactwa w naszym kraju, tyle ziemi jest w naszej Ojczyźnie. Mamy wszelkie warunki ku temu, aby w Polsce nie było już nigdy głodu, nędzy i bezrobocia” — pisali przed dziesięcią laty ZWM-owcy w swej deklaracji ideowej. Wyznaczali drogę pokoleniu, wskazywali kierunek uderzenia. I pokolenie nasze podjęło go, bo stało się pokoleniem Korczaginów. „Pójdziemy na trudną pracę, do kopalni, dołóżymy wszelkich sił, żeby jak najlepiej przysłużyć się Ojczyźnie. Wiemy, że w pracy też można być bohaterem” — te słowa nie mają w sobie nic z pustego patosu, wyrażają jedynie pewność obranej drogi. Nie wiemy, czy tych pięciu młodych chłopców ze wsi Cieszczyń, członków Związku Młodzieży Polskiej, znała deklarację ideową ZWM-u? Nie to jest zresztą istotne. Im deklarację podsunęło samo życie, kształtujące świadomość. Nowa Huta i Żerzeń, FSC w Lublinie i Kędzierzyn, Gorzów i Włocław, siłownia w Dychowie i ośiedla robotnicze przy kopalniach, spółdzielnie produkcyjne na wsi i pewnik, że Polska to plac tysiąca budów, na którym gdziekolwiek się obrócisz, tam stają się coś nowego — naczaj młodym wiejskim chłopcom podając apel na czatach pionierski. Swym czynem wzmożli istotny sens tamtej deklaracji sprzed dzie-

sięciu laty, deklaracji najlepszych i najofiarniejszych. Siła oddziaływania ideowego ZWM-u tkwiła jednak nie tylko w sformułowanych ideologicznych, tkwiła w działaniu, a więc w potwierdzeniu czynem deklaracji ideowych. Pierwsza epoka „pokolenia walczącego” to zwycięskie zmaganie się z faszystwem, obcym i rodzimym w okresie walki z okupantem, w okresie reformy rolnej, referendum i wyborów. To walka o młodzież, zrzeszoną w TUR-ze i Wiciach lub pozostającą poza wszelkimi organizacjami. To mozolne przekonywanie o walce klas i jej konsekwencjach, zdzieranie z programów Akowsko-PSL-owskich szyldu i ukazywanie ich prawdziwej burżuazyjnego postęgu. To upajanie ideowości w masę młodzieżową i piętnowanie podłości, zdrady i zaprzęstwa. Z pokolenia, wyrośniętego w trudnych warunkach, dynamiczna siła, zwana Związkiem Walki Młodych, stworzyła Związek Młodzieży Polskiej. Z pokolenia tego wyrósł budowniczo Nowej Huty. A to pokolenie budowniczych jest już pokoleniem Korczaginów.

„Broniek to syn biedniaka. W Polsce obszarnczo-kapitalistycznej pracowałby dla kulaków „aby żyć” i żyłby po to tylko, by być wykorzystanym” — pisał o losie chłopskiego syna Bronisława Golebiewskiego na marginesie dyskusji nad książką Czeskiej „Pokolenie” („Wies” nr 344). W pierwszej fazie walki do 1949 r. ów Broniek pracował u kulaka Kubisa, cieszącego się jeszcze wtedy na wsi autorytetem, a jednocześnie marzył o szkole. Tam zetknął się z członkami partii i ZWM-owcami, poznając prawdę o walce klas. Szkoła średnia w Kolbuszowej pomogła mu do zrozumienia wielu spraw dzięki napotkaniu w niej komunistów. Toteż, gdy przyszło do walki na jego wsi, Broniek stał po stronie walczących o nowe życie, zakładała świetlicę, w 50 r. wstępuje do partii, zostaje członkiem ORMO, staje się założycielem koła ZMP. Partia kształtuje jego charakter i działalność. „W myśl jej programu — pisał Golebiewski — prowadzi intensywnie szkolenie polityczne, agituje za spółdzielczością produkcyjną. Rezultat? We wsi w roku 51 zawiązuje się komitet założycielski spółdzielni. Między tym skrótem podanym życiorysem chłopca wiejskiego, a listem pięciu ZMP-owców ze wsi Cieszczyń istnieje wyraźny i głęboki związek. Jest nim wygrana walka o pokolenie, u której źródła odnajdujemy deklarację ideową ZWM-u, wyrażającą głębokie przekonanie, że „z trudu naszego i walki powstanie nowa, radosna Ojczyzna”. Przekonanie potwierdzone pracą i bohaterstwem.

Władysław Stepień



JAN GORAJ

MŁODY AGITATOR ROZORUJE KOPCE STARYCH KRETÓW

W województwie kieleckim do początku roku 1952 było 26 spółdzielni produkcyjnych, obecnie jest ich już 116. Do najpoważniejszych przyczyn opóźnionego rozwoju spółdzielni w tym województwie zaliczyć trzeba osłabienie pracy informacyjno-agitacyjnej w roku 1951 i początkach 1952. Kiedy ruszył ogólny partyjny, zeteselski, nauczycielski, a także młodzież zeteselski, „Kreca roboty” kulacka została w dyskusjach z chłopami zamaskowana i prawda szerzej i głębiej poznana dała w wyniku 5-krotny prawie przyrost spółdzielni.

Poniżej drukujemy wypowiedź zeteselpowca, licealisty napisaną na podstawie jego pierwszych doświadczeń agitacyjnych w powiecie, w którym „podkopcy kretów” kulackich ich najmniej były okiełznane.

REDAKCJA

POWIAT pińczowski należy do województwa kieleckiego do najbardziej opóźnionych w rozwoju spółdzielczości produkcyjnej. Jako początkujący agitator mogłem się przekonać, że źródłem takiego stanu był brak szerokiej, uświadamiającej pracy politycznej. Gdy w rodzinnej wsi podczas ferii podjąłem rozmowy i dyskusje z chłopami na zebraniach, spotkałem się z pytaniami, w których jasno dało się odczytać edukację kulacką. Nie powiem, żeby ci, co te pytania, wątpliwości i przypuszczenia stawiali, byli akurat kulakami albo ich zausznikami, choć może ci ostatni również do głosu dochodzili. Ważniejsze, że wróg pracował tu w naszym zastępstwie budował swobodnie i długo kolczaste zasieki w głowach chłopów. I teraz w dyskusjach przyszło mi te zapory zwać. Chłopi, jak wiadomo, jest ostrożni i lubi nową rzecz obstarwić najdalej idącymi zastrzeżeniami. Od nich też zaczyna, tak, jak to dawniej przy targowaniu krowy, kiedy w pierwszą cenę sam nie wierzył ale stawiał ją, aby ta ostatnia, najniższa pokazywała, jak on to dużo ustąpił. W pytaniach więc, jakie mi chłopci stawiali, zawierała się ta górna granica, od której ich trzęsł myślenie daleko odbiegało, ale, że pytania, wyrażające wątpliwości wróg tutaj mocno utrwalał, doszły one do głosu w jawowej formie.

Pytano więc, czy w spółdzielniach lepiej się chłopom powodzi, bo podobno niektórzy nawet twierdzą, że jeszcze trochę a chłopci będą uciekać ze spółdzielni produkcyjnych.

Mogłem odpowiedzieć przykładami z najbliższych stosunków spółdzielni, jak w Złotej, Pęczkowskiej i Niegosławicach. — Spróbujcie sobie porachować, nie tylko mało ale i średniorolni: oto jak wygląda dochód w Złotej Władysława Buskiego. Wraz z żoną otrzymał już za r. 1951 — 78 q zboża, 48 q kartofli, 27 q buraków pastewnych, 259 kg cukru oraz — 5 i pół tysiąca złotych. Za 1952 r. pewnie jeszcze więcej.

Dość wrażenie wywarło na chłopach to, że mówię o obserwacji a nie o teorii tylko. „Bo jak niewiary w pomyślność spółdzielców tak i przekonanie o ich niepomysłności opierał na „twierdzeniach niektórych”, nie dając do sprawdzenia pogłoszek jawnie wrogich a bezsensownych w treści. Moje przykłady wzburzyły w nich chęć do osobistego przekonania się. Podważały bezkrytyczne dotąd powtarzanie za kulakami kłamstw informacyjnych. Wzbudziły czujność wobec głosiłości, która uderzała w wyższą formę gospodarki rolnej. Bo na rozum umieli chłopci to pojąć, że maszyny i nie tylko traktory, ale również kopaczki buraków, kartofli, sadzarki, opielacze itd., że naukową poradą w siewie, zaprawie, pielęgnacji itd., że odpowiedni płodozmian, dobrane duże pola pod uprawę jednej kultury — to nie to, co „tytanie” w gospodarstwie indywidualnym. Fakt jednak, że w powiecie było ledwie 2 — 3 spółdzielnie pozwalające kulakom (przy braku naszej wzmożonej pracy informacyjno — agitacyjnej) uogólnić ten stan na cały kraj i kiedy dynamika rozwoju osiąga-

ła już 5.000 spółdzielni — tutaj bałamucili chłopów, że sprawa spółdzielni idzie do upadku.

To bałamucenie nie przebiegało argumentami. Jak mogłem się zorientować, wróg koncywował je parami. W każdej parze dwa przeciwieństwa. Jeśli cię pytają, jaka pora doby? Mów, że dzień — jeśli to zbija, twierdź, że — noc. Taka metoda przy nieco dłuższej akcji agitacyjnej z naszej strony, łatwo pozwolił odnieść jej bzdurne sprzeczności i pokazać chłopom, jak to ich wróg chciał wodzić za nos, kpiąc sobie ze zdrowego rozsądku chłopów.

Bo proszę zwrócić uwagę. Pierwsza wątpliwość powtarzała „jak twierdzą niektórzy”, że chłopci porzucą spółdzielnię.

Druga wątpliwość, jaką mi zwierzało według sformułowania „tych niektórych” zakłada przeciwieństwo tego, co zawiera pierwsza.

— Wszyscy chłopci pójdą do spółdzielni, bo przecież do obowiązkowych dostaw zboża doszły dostawy mięsa i mleka, podrosły podatki, więc chłopci w końcu, nie mogą się wywiązać z obowiązków wobec państwa, będą zmuszeni wejść do spółdzielni.

Jak więc widać, wróg w swojej agitacji budował na galimatjasie. I noc dobra i dzień dobry, byle chłop mówił nie. Krucha to jednak podstawa. Bo wreszcie — nawet z pomocą tak niedoświadczonych agitatorów, jak początkujący w tej pracy gimnazjalista — chłop się musi opłacać, że jedno zaprzecz drugiemu. A w rezultacie dwa kłamstwa.

Drugie kłamstwo chciało ukryć fakt gigantycznej rozbudowy naszego przemysłu i jego znaczenie dla rozwoju naszej gospodarki narodowej.

Wyjaśniałem to sprawę na różne sposoby. Przypominałem, jak to starzy chłopci pamiętają jeszcze emigrację za ocean, do Francji i Niemiec za pracą i chlebem. Czyżby tam przemysł, czyją potęgę budowali? Potęgę burżuazji największych państw kapitalistycznych, aby ta potęga tym łatwiej mogła zagrozić naszej ojczyźnie, naszemu narodowi i ludowi. Czyż nie mawiali chłopci (są dokumenty wspomnień w Pamiętnikach Chłopów), że ta siła leżyż można zrobić w ojczyźnie? Czyż nie uświadamiali sobie, jak wielkim nieszczyściem był brak u nas wielkiego przemysłu? Czyż zaprzeczają, że młode pokolenie przed wojną nie miało już wyścia ani za granicę ani dostępu do fabryk krajowych i dusiło się na wsi bez pracy i nadziei na lepsze życie?

Czyż nie poznali chłopci w Polsce Ludowej co to znaczy rozwój przemysłu? Przemysłu, który dziś jest własnością całego narodu a nie prywatnych posiadaczy, a więc nie narządem wyzysku ale rozwoju dobrobytu pracującego społeczeństwa. Czyż dzisiaj nie ma powodu cieszyć się bez zastrzeżeń z powstawania polski przemysłowej?

Jak ją już odczuł i będą odczuwali chłopci?

Miliony naszych robotników — to skąd, jak nie ze wsi? A więc praca, byt i awans dla członków rodzin chłopskich, a więc większy dochód dla pozostałych na gospodarstwie.

Młodzież w setkach tysięcy idąca do średnich i wyższych szkół — z jakiej to przyczyny, jak nie na skutek rozwoju przemysłu, dźwigni naszej gospodarki narodowej?

Rozszerzony i wciąż powiększający się rynek zbytu na produkty rolne (raz na zawsze otwarta gwarancja opłacalności produkcji rolniczej) — czyż nie na skutek rozbudowy przemysłu i przekształcania się Polski w kraj przemysłowy?

Z kolei mówię o już namacalnym wpływie przemysłu na rozwój rolnictwa. O jego planowaniu na wzór planów przemysłowej produkcji, o pomocy w maszynach, transporcie, wymianie, środkach uprawy, kredycie, agrotechnice itd., co wzmacnia wydajność w rolnictwie i zwiększa dochody. Ale o tym jeszcze raz szczegółowiej powiem przy następnym punkcie.

Cóż zatem znaczą obowiązkowe dostawy sprzedawane jak nie ubezpieczenie rozwoju gospodarki narodowej, który zaczyna się od rozbudowy przemysłu? Pracującą klasie robotniczej, nowym milionom robotników i pracowników czyż nie trzeba zapewnić wyżywienia? Czy nie trzeba tej nowej potęgi w naszych miastach ubezpieczyć przed orgią spekulacji i paskarstwa? Czy nie jest to obowiązkiem narodowym? Czyż w tym dziele, które zakłada fundamenty pod Polskę już nie bezbronną a silną, pod przyszłość zapewniającą dobrobyt i kulturę całemu narodowi, czy w tym dziele wieś ma nie brać udziału? Czyż nie jest częścią narodu? Czy chłop nie rozumie, co to znaczy „budować się”? Czy nie odkłada wówczas? I czy ktokolwiek z sąsiadów powie mu wtedy, że dziedzic? Przeciwnie, wszyscy dobrze rozumieją, że jest na dorobku, że stać go na to i ma gwarancję podniesienia swojej sytuacji. Te gwarancje dać całego świata pracy w Polsce daje nam władza robotniczo — chłopska, kierownictwo partii, która przewodziła zawsze proletariatu w walce o obalenie klas wyzyskiwaczy i zniesienie różnic klasowych i wszelkich stał wynikających niesprawiedliwości i zagrożeń dla człowieka. Te gwarancje daje nam budownictwo wielkiego przemysłu socjalistycznego.

Czyż znów wróg klasowy próbował wam wmówić, że Nowa Huta, że Częstochowa, fabryki samochodów na Żeraniu i w Lublinie, traktory w „Ursusie”, nawozy sztuczne w Tarnowie, Chorzowie i Kędzierzynie, cementownie w Opolu i Wierzbicy itd., itd. — to tylko na papierze? Nie, tego on już nie potrafił wmówić. Macie tu przecież w pobliżu kawałek wielkiego placu budowy, jaki pokrył cały nasz kraj.

Macie budowę wielkiej fabryki kwasu siarkowego koło Buska. Nie kończą się rozmowy i obliczenia chłopów w trójkacie Busko — Wiślica — Pińczów, gdzie pokłady gliny szaleńczej i wielu innych surowców ożywia przemysłowo cały ten obszar. A budująca się kolej Kielce — Busko? A inne linie, które przebiegają po południu województwa kieleckiego?

Teraz z kolei chłopci odskoczyli nową trudną kulak. Ta znów z poprzednią wątpliwością tworzyła parę na tej samej zasadzie sprzeczności i przeciwieństw.

Mianowicie, perfidna agitacja wroga w tym pytaniu, wbitym chłopu do głowy, grała na ograniczoności jego wyobraźni, na gubieniu się chłopów w perspektywach rozwoju naszego przemysłu, w bucharterii przynależności do przemysłowej w okresie Planu 6-letniego.

Pytanie i wątpliwość tak zostały mniej więcej sformułowane. — W spółdzielniach produkcyjnych mają chłopci piękne zbiory, bo państwo daje im dużo nawozów sztucznych i paki spółdzielni jest mało, nawozów tych jeszcze wystarczy, ale

(Dokończenie na str. 2)

MARIAN ŚWIETLIK

O NIŻSZYCH TYPACH SPÓŁDZIELNI

(Na marginesie kwartalnika „Zagadnienia ekonomiki rolnej“)

Zagadnienie wychowania mas chłopskich sprowadza się przede wszystkim do zastosowania takich sposobów, form i metod przejścia chłopów od gospodarki indywidualnej do społecznej, które by łączyły osobiste zainteresowanie mas chłopskich we wstąpieniu na socjalistyczną drogę w rolnictwie. Lenin i Stalin wielokrotnie wskazywali w swoich pracach na konieczność respektowania przez partię w jej polityce na wsi osobistych zainteresowań i przyzwyczajen chłopskich, jak również umiejętnego podchwytywania i uogólniania tych wszystkich form kolektywnej pracy, które wychodzą od samych chłopów i wynikają z ich własnego doświadczenia. Tak np. Lenin na VIII Zjeździe partii, przestrzegając przed próbami komenderowania chłopami, bardzo mocno podkreślał konieczność uczenia się od chłopów sposobów przejścia do lepszego ustroju. Zasada respektowania żywotnych interesów chłopstwa pracującego i ich własnych sposobów w socjalistycznych przekształceniach na wsi stała się kamieniem węgielnym stosunku partii do chłopów w okresie przejściowym, a także i w okresie socjalizmu.

Uwzględnianie osobistych interesów chłopów i podporządkowanie ich ogólnym interesom odbywało się i odbywa w różny sposób w różnych etapach rozwoju naszego państwa. Inaczej realizowało się zasadę kojarzenia osobistych interesów chłopstwa ze społecznymi w okresie przeprowadzania reformy rolnej, w okresie handlowej wzięci między miastem a wsią, kontraktacji, planowego skupu, inaczej w spółdzielniach produkcyjnych. Forma i treść kojarzenia interesów uwarunkowana jest stopniem umocnienia władzy państwa ludowego, jego siłą ekonomiczną, a z drugiej strony poziomem świadomości społeczno-politycznej podstawowych mas chłopskich i etapem walki klasowej.

Największą możliwością w wiązaniu i podporządkowaniu interesów chłopów z interesami ogólnonarodowymi stwarza spółdzielczość na skutek swego bogactwa form i szczebli kojarzenia. Spółdzielczość bowiem jest najbardziej bliska i zrozumiała dla każdego chłopów już wówczas, kiedy zachowuje on jeszcze autonomię prywatnego gospodarstwa poprzez stwarzanie materialnego zainteresowania chłopów, równocześnie podporządkowuje to gospodarstwo budownictwu socjalistycznemu, wprowadza chłopów w łożysko tego budownictwa. Spółdzielczość zarazem jest tą formą, która stwarza możliwość przejawiania się aktywności i inwencji milionowych mas chłopskich, bez których nie jest w ogóle do pomyślenia budownictwo socjalistyczne. Stalin wielokrotnie podkreślał, że bez ogarniającej miliony chłopów spółdzielczości, która dokonała w nich nieodzownego przełomu psychicznego, nie byłoby masowego ruchu kolchozowego.

W naszej praktyce budownictwa socjalistycznego na wsi nabył często nie dostrzeżenie doniosłości spółdzielczości rolnej dla przygotowa-

nia mas chłopskich do spółdzielczości produkcyjnej i co gorsza, nazbyt często nie spostrzeżenie olbrzymiej doniosłości wszelkich kolektywnych poczynań chłopskich w dziedzinie produkcji rolnej. Zagadnieniu temu poświęcona jest praca pt. „Niższe typy spółdzielni produkcyjnych w Polsce“ umieszczona w numerze 2 kwartalnika „Zagadnienia ekonomiki rolnej“.

Na całość pracy składa się siedem opisów spółdzielni produkcyjnych „niższych typów“ (Zrzeszenie Uprawy Ziemi i Rolniczych Zrzeszeń Spółdzielczych) zaopatrzonych wstępem. Dynamika opisywanych spółdzielni RZS (Ib) Ruda-Bugaj, RZS (Ib) w Broniszewie, ZUZ Kolonia Gałkówek, RZS (Ib) w Górzewicach, RZS (Ib) w Głęboku, ZUZ w Konarach, ZUS w Kłodzie dowodzi po pierwsze bogatej inicjatywy chłopskiej w organizowaniu różnorodnych form zespołowej pracy, po drugie — poważnej, praktycznej przydatności pośrednich szczebli w ramach ruchu spółdzielczości produkcyjnej i po trzecie — potrzeby przełamania utrzymujących się ciągle w pewnych kołach działaczy uprzedzeń, niechęci i niewiary w możliwości przeprowadzenia chłopów na tory gospodarki kolektywnej przy pomocy „niższych typów“.

Szczególnie interesującą i wzbogacającą praktykę ruchu spółdzielczości jest geneza opisywanych spółdzielni.

„Pierwszy etap zespołowej pracy Zrzeszenia to wspólna uprawa 40 ha odłogów, które spółdzielnia przejęła z Funduszu Ziemi w maju 1951 r., od razu przystępując do ich uprawy. Wspólna uprawa odłogów przełamała wahania niektórych członków co do słuszności przejścia na gospodarkę zespołową“. „Wspólna uprawa odłogów Zrzeszenia to walka o rozwój spółdzielni. Było to poważne doświadczenie, które przekonało większość członków o wyższości pracy zespołowej i o konkretnych korzyściach mechanicznej obróbki ziemi. Przekonało ono o wielkiej pomocy państwa ludowego dla gospodarstw zrzeszonych, wyrażającej się w kredytach na nawozy, nasiona kwalifikowane, w pomocy Państwowego Ośrodka Maszynowego“ — czytamy w opisie RZS (Ib) Ruda-Bugaj w pow. Łódzkim. W innych wypadkach jak np. w ZUZ Konary, Gałkówek, Kłoda — członkowie spółdzielni rozpoczęli swoją pracę od wspólnego zagospodarowania resztek, względnie łąki. Start i późniejszy rozwój spółdzielni jest szczególnie pouczający. Wynika z niego, że w wielu wypadkach punktem wyjścia w walce o dojrzalszą, socjalistyczną przebudowę wsi mogą być proste, zdawałoby się odległe od skomplikowanych form spółdzielczości różnego rodzaju zbiorowe przedsięwzięcia chłopów poszczególnych gromad. W zasięgu działalności POM w Olsztynie, woj. olsztyńskiego większą część osadników powstałych spółdzielni produkcyjnych i przeważającą ilość komitetów organizacyjnych wyrosła z zespołów likwidacji odłogów.

Niezbiorokratyzowani a wnikliwi działacze spółdzielczości produkcyj-

nej mogą na terenie niemal każdej gromady znaleźć sporo okazji do podchwycenia względnie zainicjowania różnych zespołowych akcji produkcyjnych. Dla przykładu można by przytoczyć choćby wspomniane poprzednio zagospodarowywanie resztek pofolwarczych, częstokroć uprawianych przez GS lub GRN przy pomocy najmniejszej siły roboczej, doprowadzenie do wyższej kultury zaniebawianych zazwyczaj gromadzkich pastwisk i łąk, włączanie do powierzchni uprawowej względnych nieużytków (względnych z racji słabości techniki chłopskiej), zakładanie szkółek drzewek owocowych, wspólne siano-kosy, omloty itp. Wszystkie te proste, nieskomplikowane przejawy współdziałania chłopskiego mogą mieć doniosłe znaczenie w wychowaniu aktywności gromadzkiej, który z kolei podjąłby na wsi kampanię na rzecz spółdzielni produkcyjnej.

W okresie poprzedzającym powszechną kolektywizację w ZSRR partia zobowiązuje swoje ogniska do udzielenia maksymalnej pomocy podstawowym masom chłopstwa — średniakom i biedocie — wszelkim postaciom ruchu spółdzielczego (spółd. społ., rolnej, wytórczej i kredytowej) w szczególności zalecała organizacjom partyjnym popieranie prostych form pracy społecznej, jak wspólna uprawa ziemi, bądź też wspólne zbory, wspólne siano-kosy, wspólne posługiwanie się inwentarzem żywym lub martwym przy takich czy innych pracach w polu, uruchamianie przedsiębiorstw przetwórczych, jak olejarnie, suszarnie itp.

Na terenie naszej wsi stwierdza się sporo żywiołowych przejawów współpracy chłopskiej. Należałoby nimi pokierować, nadać im skuteczniejsze formy organizacyjne, zachować ich ciągłość, rozszerzać ich zakres i podnosić na wyższy szczebel, z czasem nadawać im wzorcowe formy statutowe. Działacze ruchu spółdzielczego winni się wystrzeżać przed wszelkimi masowymi ruchami społecznymi tendencjami do ich formalizowania, chęci ujmowania niezmiernie bogatych przejawów życia społecznego w sztywne formy organizacyjne, a przeciwnie — każdorazowo, w zależności od lokalnych warunków gospodarczych, złożoności form walki klasowej, siły poszczególnych układów ekonomicznych, dojrzałości społeczno-politycznej chłopów, tradycji i nawyków w gospodarowaniu winni uczyć się dopasowywać do poszczególnych rejonów czy gromad takie formy organizacyjne, które stwarzałyby jak najlepszy klimat dla rodzenia się i zwyciężania nowego nad starym.

Jasne się staje, że takie rozumienie walki o socjalistyczną przebudowę wsi stawia przed działaczami spółdzielczości produkcyjnej sporo trudności, kłopotów, konieczność bardzo wnikliwego rozeznania terenu, czujności. Przytoczone opisy, wbrew opinii niektórych „urzędników od spółdzielczości“ dowodzą, że niższe typy spółdzielni produkcyjnych stwarzają znaczne możliwości rozwoju społecznego gospodarstwa, społecznej własności i pracy a zatem i

przewycięcia indywidualistycznych tendencji chłopów. Świadczą o tym osiągnięcia i plany gospodarcze opisywanych spółdzielni. Tak np. Zrzeszenie Ruda - Bugaj „zapropjektowało przeprowadzenie melioracji najbardziej podmokłych gruntów oraz zorganizowanie kilku przedsiębiorstw pomocniczych, które zwiększą dochód i pozwolą zatrudnić ludzi w martwym sezonie: kaszarnię, cegielnię polową, zarybienie 5 dołków nieużytkowanych stawów. Założenie 2 ha wikliny umożliwi rozwinięcie miejscowego przemysłu, w spółdzielni jest bowiem czterech dobrych koszykarzy.

W celu założenia wspólnej hodowli członkowie zamierzają zakupić 30 krów, 1 buhaj, 20 prosiąt, 1 knura, 30 owiec, 1 tryka. Zobowiązali się również odstąpić na rzecz hodowli wspólnej 10 krów i 6 koni“ — (I. Bidowa — Rolnicze Zrzeszenie Spółdzielcze Ruda - Bugaj w pow. łódzkim).

Praktyka spółdzielni produkcyjnych „niższego typu“ obala również przesąd, jakoby nie stwarzały one warunków i perspektyw dla biedoty wiejskiej. Fakt jest, że stwarzają one szczególne przywileje dla średniaków, ale też sytuacja biedoty wiejskiej zmienia się w nich radykalnie (np. ZUZ Gałkówek).

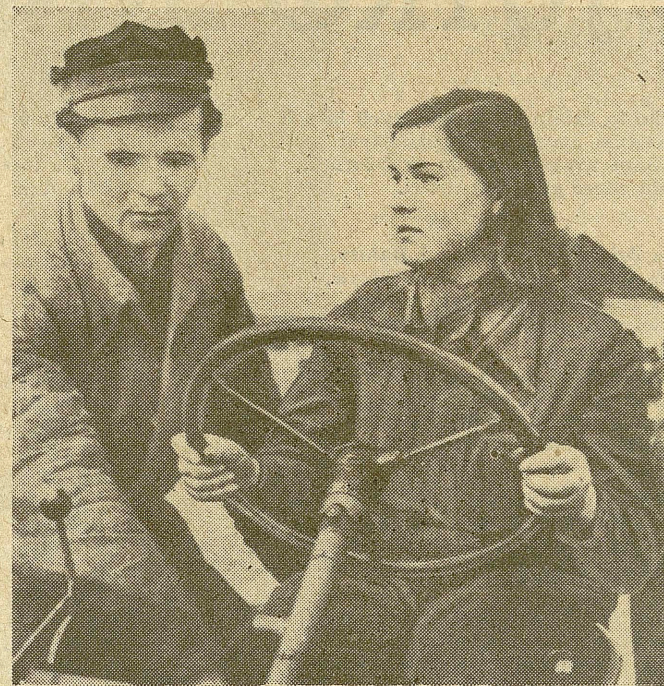
Następną fazą rozwojową powinno być przejście do wyższego typu gospodarki spółdzielczej. Proces taki może zająć jedynie wówczas jeśli biedota wiejska swoją pracą, stosunkiem do spółdzielczego gospodarstwa sprawi, że w oczach średniaka z czasem większego znaczenia nabierze dochód wynikający z pracy, kiedy średniak poprzez doświadczenie „wylizy“ sobie, że korzystniej dla niego będzie zrezygnować z doraźnych przywilejów na rzecz zwiększonej socjalistycznej akumulacji, stwarzającej szerokie możliwości rozwoju społecznego gospodarstwa (np. RZS (Ib) Ruda - Bugaj). Rozwiązanie tych nieantagonistycznych sprzeczności wydatnie może przyspieszyć polityczna, organizacyjna - gospodarcza i agromomiczna pomoc partii i wszelkich instytucji wspomagających ruch spółdzielczości produkcyjnej a w szczególności pomoc POM-u.

Doświadczenia ZSRR, doświadczenia budownictwa socjalistycznego w krajach demokracji ludowej i nasze, polskie dobitnie potwierdzają konieczność zachowania w ramach spółdzielczości produkcyjnej pośrednich szczebli i respektowanie własnych chłopskich sposobów wchodzenia na tory gospodarki kolektywnej. Chodzi o to, żeby doniosłość tego zagadnienia dostatecznie uświadomił sobie szeroki aktywny ruch spółdzielczości produkcyjnej. Stanie się to wówczas, jeśli walczący o nową socjalistyczną wieś spojrzą na różnorodne postacie zespołowej pracy chłopskiej oczyma dialektyki dostrzegającego to co nowe, to co toruje sobie drogę w walce ze starym.

Praca, na której marginesie poczyniono kilka tych uwag, zagadnienie to ułatwia zrozumieć.

Marian Świetlik

Portrety spółdzielców



Fot. CAF

KRYSTYNA PAŁYS

TKANINY FRAMPOLSKIE



Fot. J. K. Maciejewski

TKACZY frampolskich przypomni mi obrus w pięknym lokalu MDM-u, a wiadomo, że dla przystrojenia stolicy wybierano przedmioty i tkaniny, zasługujące na miano najpiękniejszych wytworów sztuki ludowej i naszego rzemiosła artystycznego. Chociażby z tych tylko względów warto było zainteresować się Frampolem, tym „lubielskim Zyrardowem“, położonym w pobliżu miejsca, gdzie schodzą się granice trzech powiatów — biłgorajskiego, krasnostawskiego i kraśnickiego.

Frampol istnieje do dnia dzisiejszego, chociaż lotnicy hitlerowscy zrównali go w roku 1939 prawie z ziemią. O jego istnieniu decydowała i decyduje owa glina-popielatka zmieszana z piaskiem, na której gospodarzą okoliczni chłopcy z Rzeczy, Sokółki, Kątów, Starej, Woli Kateckiej i Radziwiłłowskiej. Sieją oni od dawien dawna wiele lnu, bo urasta tutaj bujny, na smutkich łąkach, z których kobiety wyczesują włókna lśniące i miękkie, dające się skręcać w cienkie nici o wyjątkowej mocy. Takiego lnu, jak pod Frampolem nie znajdziesz na całej Lubelszczyźnie, chociażbyś ją przewędrował udułż i uszerz. Dlatego na ulicach osady słychać i teraz, regularny stukot warsztatów tkackich. Nie ma tutaj domu, w którym nie byłoby tkacza.

Osada przetrwała dwa i pół wieku, a przeżyła dwie rewolucje — pierwszą zaraz po wojnie rosyjsko-japońskiej, kiedy pojawił się we Frampolu Paweł Dudek. Skąd pochodził nie wiadomo, ale rzecz pewna, że znał się na tkactwie lepiej niż miejscowi i widział lepsze warsztaty. Sprawa dzieli on do Frampola warsztat stwarszy i ulepszone, w którym członek nie trzeba było przetrzącać ręką, o sześciu „nóżkach“, czyli pedałach. Na tym warsztacie tkal Dudek nie tylko cieńsze i szersze płótna, ale ozdabiał je wzorami. Powoli jego izba zamieniła się w szkołę zawodową chałupników, wyszli z niej najlepsi tkacze frampolscy. Z biegiem czasu ustalił się charakter ich wyrobów. Były to przeważnie obrusy albo „plachty“ przetykane subtelnymi wzorami z kolorowych nici. Drobne motywy geometryczne układały się na nich w pasy niewielkiej szerokości. Zwykle po brzegach występował wzór szerszy, a pasy wewnętrzne były powtórzeniem motywu środkowego z wzoru obrzeżającego tkaninę.

Tkaniny frampolskie zdobyły sobie popularność światową nieposwiednią drogą. Powiat biłgorajski należał do najbardziej zubożonych, najbardziej gospodarczo zacofanych na Lubelszczyźnie, stamtąd też największe chłopy wyruszało za morze szukać chleba w Ameryce, Argentynie, Brazylii, Kanadzie. Warsztat tkacki nie mógł też wyżyć całej rodziny — na szlaku Frampol, Biłgoraj, Gdynia, Atlantyk panował zawsze ruch. Jeśli ktoś wybierał się w daleką drogę, tkacze frampolscy dawali mu nierzad upominek dla krewniaka za oceanem. Jechali te upominki w łomoczkach na dolnych pokładach okrętów razem z emigranckim dobytkiem, a na obecnej ziemi przyjmowano je z płaczem serdecznym, bo wąskie pasy wzorów przypominały kwiłtującą błękitem zagony, bo obrusy pachniały łąkami lnu spod Kąsów, Sokółki czy Rzeczy. Brak przywoził w nich jakby całą ojczyznę.

Te lniane obrusy i ręczniki frampolskie przypadły mocno do gustu Amerykanom. Posypały się zamówienia i powoli następuje kapitalizacja rzemiosła tkackiego. We Frampolu powstają trzy wielkie warsztaty, zatrudniające po kilkunastu i więcej robotników. Jakaś spółka akcyjna z Poznańskiego próbuje też uściskać część zysków z lnu dla siebie, stawia pod lasem wielkie hale, kottownie i budynek administracyjny — zamierza uruchomić miedlarnię. Ale interesy finansowe tej spółki jakoś kuleją, zaciągają pożyczki, w końcu ogłasza upadłość, a większość akcji wędruje nikomu bliżej nieznanym sposobem do kieszeni jednego z właścicieli prywatnych warsztatów we Frampolu. Tkacze frampolscy dzielą się wyraźnie w tych czasach na przedsiębiorców z wyrobionymi stosunkami, otrzymujących wsząd zamówienia i na robotników, stukających całymi dniami ramami kosien.

Drugą rewolucję przeżyli tkacze frampolscy po odzyskaniu niepodległości. Chałupnikom było coraz trudniej o surowiec i nabywców, ponieważ okoliczni gospodarze zaczęli masowo kontraktować len. (Chłopi z okolic Frampola dostarczają chyba połowę tego, co daje cała Lubelszczyzna). Za włókno otrzymywano gotowe tkaniny po niższych cenach, nikt nie ogłaszał się już na miejscowe wyroby. Chałupnicy zawarli w tym czasie umowy ze spółdzielnią „Włókno Krajowe“ z Lublina i wykonywali dla niej różne zamówienia, przy czym otrzymywali surowiec. Zarobki mieli niewielkie, dopiero kiedy Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego zorganizowała na miejscu spółdzielnię pracy i ustawiła w dawnej miedlarńi pod lasem kilka dziesiątów warsztatów, Frampol zamienił się w miasteczko regionalny Zyrardów. O murowanej hali mówi się już „fabryka“, polepszają się zarobki, farbują się wełny i len, uruchamia oprócz tego trzy zespoły warsztatów w budynkach wynajętych. Brygadierem w „fabryce“ jest Paulin Dudek, tkacz z trzydziestoletnią

praktyką i uczeń owego Pawła Dudka, który wprowadził we Frampol ulepszone krosna, nauczył ludzi tkąć wzory, noszący dziwnym zbiegiem okoliczności nazwisko swego mistrza. Przedownikiem pracy w spółdzielni jest Wojciech Biernat, który nie ma nigdy mniej niż 150 procent normy, a Zofia Bielan to mistrzyni w tkaniu wzorów. Dużo młodzieży z Frampola kształci się w szkołach średnich i wyższych, sporo też przyszło do warsztatów, żeby kontynuować tradycję swojej osady. Ci przeszli szkolenie przywarsztatowe a potem trzymiesięczny kurs w spółdzielni. Czesław Dąbek zgłosił się np. na naukę zaraz po powrocie z brygady junaków SP, a Leokadia Marchewka i Władysława Białkowska przyszły z warsztatu chałupniczego. Cały wysiłek spółdzielni zmierzają do przebudowy drugiej części hali i umieszczenia wszystkich warsztatów spółdzielczych w jednym budynku.

Oficjalna nazwa „Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Półkoj“ we Frampolu nie zawsze szła w parze z rodzajem produkcji. Wyrobiano tutaj wełniane szaliki, chustki, serwety, obrusy i samodziały. Z wyrobem tych ostatnich tkacze frampolscy — jak sami twierdzą — nie są tak obeznani jak ze sztuką tkania lnu.

Dzięki opiece CPLA chałupnicy frampolscy znaleźli w spółdzielni lepsze zarobki, skończyły się ich zmartwienia o surowiec i zbyt, nie można jednak powiedzieć, że w tym czasie rozwinęło się tkactwo artystyczne Dlatego z uznaniem należy powitać fakt, że w planach pracy spółdzielni na bieżący rok znajduje się tkaniny wyłącznie lniane, a nad ich wykonaniem czuwać będzie specjalista, znawca tej gałęzi sztuki ludowej. We Frampolu żyje już niewiele uczniów Pawła Dudka. W interesie regionalnej sztuki ludowej powinni oni zaznajomić młodszych z kunsztem tkania wzorów, żeby mogli utrzymać i rozwinąć artystyczne tradycje osady.

Krystyna Pałys

ANTONI KASPROWICZ

Ilustrowała Hanna Orzechowska

„JUTRO INNA ZBUDZI SIĘ ŁÓDZ”

(Fragmenty poematu)

Wszystko to działo się w ponurych latach
Trzydziestym drugim i trzydziestym trzecim,
Kiedy bunt wzrastał wśród proletariatu,
I z głodu chore umierały dzieci.

*

Łódzkie dzielnice, Szlezying i Bałuty,
Rozległe Chojny i stłoczony Widzew,
Nędza i głodem codziennym zatrute
Jednakże miały strychy i piwnice,

Jednakże ścieki śmierdzące i zlewry,
Jednakże troski i smutki. To znaczy -
Tym samym bólem dymili i gniewem
Wyschnięte piersi szpinerów i tkaczy.

Tak samo Rzgowska, jak i Przedzaliniana
Kroczył policjant i przemysłki szpicer.
I w starych chustkach za trumną drewnianą
Szyły matki z placem przez brudne ulice.

Tak samo domki oblepione śniegiem
Na katafalku nadchodzącej nocy
Straszyły niebem, niby ciężkim wiekiem
Nakryte szczelnie na śpiące oczy.

Tak samo tutaj na dumnym Widzewie,
Jak na cuchnących Bałutach, tak samo
Prawie codziennie trzeba było przewieźć
Człowieka, który padł z głodu przed bramą.

Tak samo w nędzy kończył na suchoty
W zimnym poddaszu niemowa lub garbus.
I groźne hasła malował na płotach
Uczeń malarzski ukradzioną farbą.



Tak samo domy trzeszczały zbutwiałe
I rosły borgi po lichwiarzkich sklepach
I szarym braskiem dewotki skośnie
Dreptały z dzwonkiem godziniki swe klepać.

Tak samo rankiem dymy nad dachami
Domków — gołębią chyliły się białą
I cielska fabryk straszyły murami,
A każda z fabryk — groźną cytadelą.

Lecz w ogrodzonych wysokim parkanem,
W oszklonych, jasnych, strzelistych pałacach,
Inaczej mijal dzień „wielmożnym panom”
Scheiblerom, Kohnom, niż widzewskim tkaczom.

*

O, nieraz w taką ciłą noc z drewniaka
Krzyk, niby piorun wyrzucił w podwórkę
I zrywał prądkę, które na bosaka —
Pędziły z synem zaspianym lub z córką

Ratować kumę spod żyłastych pięści
Męża, co z nędzy spłł się denatura,
Lub popłakiwać, co było najczęście
Nad chudym trupem obciążonym skórą.

O, nieraz w taką ciłą noc, dźwięk dzwonka
Ciął sen, jak pila wypróchniałe drzewo
I długo w serca zakątkach się błakał
I trwoga stawał, niepokojem ziewał,

Nim wreszcie lekkim stapaniem po schodach
Dano znak nocnej niezwyklej oblawy:
Tajniki z „gliną” pod „widelcem” wiodą
Staska, co przywiózł odezwy z Warszawy,

Włec nienawistą iskrzyły się oczy
Starych snowaczy zaspianych i praczek.
I słyhać było w majowej północy
Klątwy i groźby pomieszane z płaczem.

O, nieraz w taką letnią noc gorącą
Odór skwaśniały wbił się w poddaszy
Tkaczy, co dzień swój, jak jedyne wrzając
Spłł haustami godzin pośród maszyn,

Śladali wtedy na schodach przed bramą
I niby lustra jaśniały im twarze,
Gdy stary działacz robotniczy — Ramus
O rewolucji zaczął i o carze...

Najpiękniej jednak działo się tu, kiedy
Pierwszomajowe zbliżało się święto,
A Czesny węgiel rysował i kredą
Twarz Marksa mądrą, wzniósł się uśmiechniętą,

Gdy robotnicy na majowej pochód
Szykując skrycie bojowy transparent,
Nosili w sercach, jak w beczułkach prochu
Gniew, który pieśni wybuchal pożarem,

Najstraszniej jednak dzień upływał wtedy,
Gdy krzyk rwał bruki napietrzonych ulic,
Gdy w czerwieni bity stalowe bagnety,
A jęk pozostał po szwiszącej kuli.

Gdy przed fabryką Grohmana lub Kohna
Powoli teżał chudy trup szpinerą,
I z wąskiej strugi krwi jasno-czerwonej
Gniew poczał buntem bulgować i wzbierać

Kiedy, na nagłe ogłoszony lokaut
Pozamykano składy i konsumy,
A bosa dzieci po brudnych rynsztokach
Wysiadływały o głodzie przed domem...

Bywało różnie, jak to mówią, w kratkę;
Pogrzeby, śluby chrzestny i zabawy.
Czasem ktoś nocą rozrzucił ulotki,
Albo masówkę zgromadził nad stawem,

Ktoś wypisywał czerwienią na płotach
Precz ze Sanacją! Niech żyje Komuna!
Często zalany Wypych pogał „kota”
Policjantowi, gdy mu się nasunął.

Jednak ze wszystkich to się najrzetelniej
Popisał latem z Ozorkowskiej „Daniel”,
Gdy na koninie Wenckiego cegielni
Czerwony sztandar zawiesił zuchwale.

Trzy dni furkotał, zanim go strażacy
Zdjęli z konina. Przez trzy dni radował
Serca strycharzy zmuszonych przy pracy
Stwardniałą gliną rąbać i formować.

A czas był ciężki. Jęczały przedmieścia
Od nędzy, chorób, od chłodu i głodu.
Paktował Lipski z Hilierem, Bek jeździł
Ratować prestiż przy Lidze Narodów,

A czas był ciężki. Pfafendorski zegar
Nie co dzień dźwięczał starą blachą miedzi,
Co dzień natomiast — jak wzbudzona rzeka
Bunt robotników pogłębiał się w bledzie.

A bieda wtedy straszliwa, wraz z nędzą
Na każdym progu robotniczym wyły.
I bezrobotny z mieszkaniem opędzał
Bety i ciuchy, by ratować siły.

Pęczniał dług w sklepach, wzrastało komorne,
Płakały dzieci za barszczem i chlebem.
Czarnymi kołmi dni nędzy upornej
Ciągnęły z domów „weberskie” pogrzeby.

Aż wreszcie nadszedł rok trzydziesty trzeci,
Rok buntu, rzezi, redukcji, mitingów.
Rok, który ogniem gniew tkaczy rozniecił
Od bram Widzewa do strychów Szlezingu.

*

Zawrzała „Wima”, Pfafendorski Szlezying
Gdy lon od metra obniżono nagie.
„Kohn” zastrajkował, z poparciem pośpieszył
„Grohmann” z Emilii i z Fabrycznej „Scheibler”.

Poczęła wzrastać świadomość klasowa
I krzepnąć silnie braterska wspólnota.
Szedł „Lewar”, „Prawda”, bojowa „Odnova”
Pienił się „Kurier” — oszczerstwami młotał.

Wrzała reakcja szpicłowska nagonka.
Areszty, wyspy, codziennym zjawiskiem.
W ten sposób Antka zabrano i Bronka,
Berka Lewina, Karasińska z Niskiej.

Aresztowano nawet delegatów
Związków klasowych. Sanacyjny żandarm
Przenikał wszędzie. Robotnicy na to
Nocą, czerwony wywiesili sztandar.

Jedynie Ramus, Łuczak i szewc Graneł
Ukryci, ale gdzie? nikt nie odgadnie...
Razem z bibulą, podczas tych łapanek
Przepadli cicho, jak kamienie na dnie.

*

Nagle gruchnęło z partyjnego „cynku”
Jutro masówka! Wytrwać towarzysze!
Jutro zbieramy się na Wodnym Rynku,
Przemawiać będzie Roszak! I afisz

Nocą ktoś poczał rozklejać na płotach.
Wszyscy wiedzieli; prowadził KPP.
Zaczęły kraść ulotki. Robota
Ruszyła. Poczuł robotnik swą krzepę.

W zwiątpiałe serca wstąpiła nadzieja,
Nawoływano do strajku, do walki
A rankiem — każdy, spał, nie spał, jadł, nie jadł,
Śpieszył na „Wodniak” okolony parkiem.

Tutaj wśród tłumów widzieli niektórzy
Jak uśmiechnięty z bibulą przemikał
Ramus wąsaty i Graneł Szmul — ryży
W latanej bluzie, w podartych trzewikach.

Już na „Wodniaku” stutysięczne tłumy
Falują groźnie i sztandarów czerwien
Łopocąc, miewa się z ludzkim poszumem,
A w bramach — konna policja w rezerwie.

Na Wodnym Rynku, na „Czerwonym Rynku”,
„Nielarka”, „Scheibler”, „Widzewska” i „Weyer”
Murarze z Kozin i strycharze z Młynka.
Zamknęto sklepy, stanęły tramwaje.

A tłum napływa, pęcznieje i rośnie
I zbija masą pokrywa bruk placu,
Faluje, cichnie i — wybuchu groźnie:
„Wyklęty powstań ludu!” Chleba! Pracy!

Słowa pioruny padają z trybuny:
Do walki! Strajku! Po nowe zwycięstwo!
Niech żyje wspólny front i Łódź czerwona!
Precz z burżuazją, Berezle przekleństwo!

Ścisnięte pięści wystrzelają w górę,
I las sztandarów pochyla się nisko,
A głuchy pomruk, niby o klepsko
Bije w fasady domów, wstrząsa murem

I rażąc ciężkim klekotem stu gromów
Główną, Piotrkowską, Rokicińską, Wodną,
Leci nad miastem, ponad dachy domów
Płesnią czerwona, groźna i swobodna.

Wtem — nagły popłoch, krzyk, tumult. Od Głównej
Szarżuje konna policja z tętentem.
Pękl szpaler, łamie się szkielet nierównym,
Wpada do domów, lecz bramy zamknięte.

Włec się rozbiega po skwerze i parku,
Gdzie już policja zagrzana gorzala
Grzmoci po plecach, po głowach i karkach
Kolbą okutą i gumową pałą.

Padają ranni. Cofa się tłum zbity
Przez Rokicińską w stronę Zyndermana
I nagłe staje, groźny, jednolity
Jak mur, jak skała w ruchu zatrzymana.

I oto z hukiem, straszliwym łoskotem
Wali się tramwaj. Rośnie barykada,
Rwie się uliczny bruk, pękają płoty,
Trzaskają szyby, drżą sklepy w posadach.

I na policję padają już z okien,
Z rozbitych pleców — kafele i żelazo,
Wylażą prądkę na dachy wysokie
Skąd wrzaskiem leją i cegłami prażą.

Na próżno grzmocą ciężkimi kolbami
Do bram zawartych, z kłutą granatową,
Gdzie tkacze razem z dziećmi i żonami
Zbrojni w sekery czekają gotowi.

Wścieka się, pieni Komisarz Łękowski
„Czas by zakończyć z tą głodną hołotą”
Tym bardziej, że już od strony Piotrkowskiej
Biegnie przodownik na pomoc w plechotę.

Lecz tłum rozbity znów atak formuje
Lecą kamienie, spadają sztachety.
(Tu akcją Ramus i Graneł kieruje).
Wnoszą się pięści, prą naprzód kobiety,

Błądzą bezpańskie rumaki. „Ferajna”
Już paradytuje w policyjnych kaskach.
Tłucze po mordzie Walerka „odczajna”
Kaprala, który ją szabłą poglaskał...

Wtem głośny wystrzał rozpruwa powietrze,
Echem się tłucze po ścianach oficyn.
I krzyk rozlega się groźny na płetrze:
Strzelają, prosto w piersi robotnicze!

Placze tłum, jęczy, zalamuje ręce
Leci na drzące wargi wleś pobiada.
Kula trafiła wprost w serce dziewczęce
W boju — Jadwiga Wojciechowska — padła!

Kto wpuścił oddział? Kto walczących zdradził?
Rosną pytania z przekleństwem na wargach.
Kto granatowych przez sieni przeprowadził?
— To wróg klasowy, Bielska sklepikarka!

Teraz wre walka o trupa. Nie damy!
Tumult, krzyk, jęk. Grzmiały końskie podkowy,
Błyskały szable. W ataku — za bramę
Wyparty został pluton granatowy.

I znowu atak. Lecz świeże oddziały
Zbrojnej policji, przez sklepy i bramę
Wtargnęły teraz w podwórzce. Grzmiały strzały
I — pustoszeje plac przed Zyndermanem.

Jeszcze ostatnie z dachów lecą cegły,
Pryska dymiący wrzask prosto z okien.
Rabą szablami sekcje, które wbiegły.
Otrzymał Ramus dwie rany głębokie.

Padł dźgnięty w nogę stalowym bagnetem
Graneł pobladł. Zakuto w kajdany
Walerkę, która kluczem (nie kastetem)
Zadała ciosy dwom „łatom” pijanym.

Tłum wycofuje się z pozycji swoich
Porozbijany na nieliczne grupy
I wrzący — znika wolno z placu boju
Razem z dziewczęcym okrwawionym trupem.

Już się plac walki nierównej wyludnił
Opustoszało walczące podwórkę.
Tylko zabitej krew stygnie przy studni
I jęczy ranny kapral pod komórką.

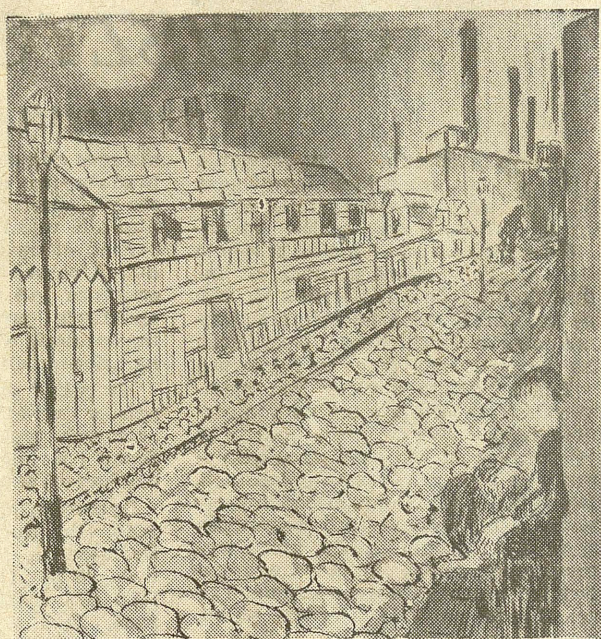
Zza odrapanej niskiej kamienicy,
Wyrzwał ogromny księżyc niby bała
I krwym okiem spojrzął po ulicy,
Gdzie się już groźna skończyła batalia.



Jeszcze z oddali płynię wark motora
I stukot podków czapiących patroli
I wreszcie cisza. Lecz tego wieczora
Ktoś płakał rzewnie, kłął, jęczał powoll.

Ktoś bił w celi gryzi z bólu zębami
W ciężkim śrubstaku sprasowane palce.
I matka rwała włosy nad zwiłkami
Dziecka. Noc przyszła. A Łódź trwała w walce!

Nie wszyscy jednak tej nocy marcowej
Spali. Pilnować musiano na zmianę



Ciała zabitej, które granatowi
Dwukrotnie chcieli już odbić nad ranem.

Nie wszyscy spali tej nocy marcowej.
Przecież na brudnej, szpitalnej pościeli
Jęczał Szmul Graneł i Remus bojowy,
Badano mężną Walerkę na celi.

Przecież nie poddał się Widzew i Szlezying
Kominy pieców fabrycznych nie dymiały.
Krają ulotki. Pracuje podziemie.
Wśród robotników i szarych żołnierzy.

Na rogach ulic bunt rośnie. Gniew w domach.
Padają słowa, jak ciężkie granaty,
A przerażony Kohn, Scheibler i Grohmann
Z delegatami zwolują narady.

Mimo, że głodem szantażują, przecież
Nikt się do pracy nie zgłasza, nie biega.
Strajk trwa! Trwa walka! Buntują się „Wid”,
Burzy się Lublin, Tomaszów i Praga.

A w kurnych chałtach wsi powiatu Lesko
Na trumnach chłopów migocą gromnice,
Bo odważyły się gromadą wiejską
Z widłami ruszyć na sąd i policję.

Włec po rozkisłych błotem wiejskich drogach
Pędzą bezrolnych, gromadzą na rynku.
Do twierdzy, do wiezień. Bo rząd woli wroga
Zawsze na oku mieć — no — i pod ręką.

A czas szedł wolno, pobrzękiwał groźnie
Żelazem, które gromadził w rezerwie.
I widać było już, jak burza rośnie,
Jak w czarnych chmurach przebliskuje czerwień.

Czas szedł i werble huczały biwaków,
Paradowały błyszczące eskadry,
A z płonącego nocami Reichstagu
Dym wiał na Lesków, na Paryż i Madryt.

*

Już na Zakrzewskiej wzmocnione patrole
Schwytyanych biją i ładują w auta.
Reszta przez wiejskie zagrody, na pole
Cofa się wolno przed zemstą, przed gwałtem —

I z buntiem w piersiach, z nienawiścią w oczach
Groząc, wchodził w rozwarłe demności,
By od bram miasta, gdy brzask się wyłoczy
Bombą ognistą spaść na Plac Wolności!

*

Wystyga walka i noc już wygasa,
Na wschodzie niebo przeciera się w brzaskach,
Na krańcach miasta skłębiona wrze masa,
Na rogach ulic — zbrojny patrol w kaskach.

Głodny przebudził się Szlezying i Wldzew
Lecz zbuntowany i niepokonany.
Pędzą karetki. Nad tłumne ulice
Placz się unosi, jak za karawanem.

Łączą się tkaczy kolumny rozbite
Znów tłum na groźną potęgę wyrasta.
Wyją pancerki, grzmiały końskie kopyta,
Z Kresów ścignięto policję do miasta.

Stają oddziały na bruku ulicznym
I karabiny ustawiają w kozy,
Baczność! I odlicz! Znowu auta przywiozły

Świecisz rezerwy o wieprzowych karkach,
O byczych mordach i niedźwiedziach barach...
Tłum prze, naciera, za płotem targa,
W stronę Piotrkowskiej przedostać się stara,

Jednak na próżno. Groźna broń nabita!
Setki bagnatów wymierzonych w piersi —
Konna z szablami, za płotem ukryta,
Pancerka lufą kulomiotu grozi.

Wrze masa. Nagle, ponad szum uliczny,
Który przypada i cichnie na razie
Dziesiątki syren zagrało fabrycznych,
Zwyczajem głosząc robotniczej klasie.

Niech żyje Partia! Tłum okrzyk podchwycia,
Trzęsą się mury, w izdebkach drżą szyby.
Cofa się zbrojna piechota z konnicą,
Zawraca oddział pancerny, co przybył.

Włec radość prądkę ogarnia i tkaczy.
Szum, plac i kłątwa w pieśń wielką się rodzi.
To strajk wygrany i bitwa, to znaczy
Zwycięstwo Partii i Czerwonej Łodzi!

Lecz dalej walczyć będzie Łódź Czerwona,
Na twardym bruku i w fabrycznej sali,
Bo walka krwawa jeszcze nie skończona,
Walka narasta i w buncie trwa dalej!

To nie, że dzisiaj przypada wygrana,
Że podpisano Umowę Zbiorową.
Broni nie złoży swej Łódź zbuntowana,
Bo walczyć będzie o Polskę Ludową!

ANTONI KASPROWICZ

GUSTAW MORCINEK

GÓRNICZA ARMIA

Pięknego i trafnego określenia użył Prezes Rady Ministrów, Bolesław BIERUT na naradzie aktywu górniczego w Katowicach w dniu 30 stycznia br., gdy przemawiając w sprawie wykonania planu w naszym górnictwie, powiedział, że górnictwo to wielka armia. Kilku set tysięcy brać górniczą stanowi bowiem olbrzymi zespół ludzi pracujących w tak bardzo odrębnych warunkach, jakie stwarza kopalnia, i tak bardzo wyróżniających się spośród innych grup robotniczych odrębną strukturą psychiczną i moralną, że zupełnie słusznie można go nazwać armią.

Praca górnika ma w sobie coś z walki zapaśnika. Gdy wszędzie indziej robotnik ma do pokonania tylko trud fizyczny, górnika obok wysiłku fizycznego musi pokonywać przeciwnika, którego określa się w języku fachowym jako „naruszenie równowagi ziemi”. W sumie wytwarza to ową szlachecką dumę, jaka cechuje każdego górnika.

Gdy górnik śpiewa, że

Nie ma jak górnicy stan.

Każdy górnika wielki pan!

Cesarz mu się kłania w pas,

Król mu schodzi z drogi w las,

A dziewczyna szczerzy zęby:

Pójdź, Zelficzku, dam ci gęby!...

to w tej prostej piosence wyraża się poczucie jego wartości. Tak! Górnika jest dumny ze swego zawodu i warto nieraz słuchać starych „kumpi” pod szybem lub w cehowni, opowiadających o kopalni i jej życiu młodemu „fuksom”. Homer był nie powstydził takiej epopei, tym bardziej, że nawet język górnika, aczkolwiek obfitujący w słowa kanciaste i najeżone „pie-runami”, jest językiem homeryckim. Dlatego też górnika ślaski musiał mocno „zapierunować”, gdy słyszał przemawiającego Towarzysza Bieruta na naradzie aktywu górniczego w Katowicach, lub gdy czytał nazażutrz w prasie jego przemowę. Tutaj honor górnika został mocno poruszony.

Rozmawiałem ze starym sztygarzem z „Kleofasa”, moim wyprawianym przyjacielem, w kilka dni po tamtej naradzie.

Namnożyło się przeróżnych mamlasów pieruńskich — sarkat mocno zgorzchny — różnych giszów, bumelantów i śmierzdiobótek i teraz robią wstyd, aże wstyd porządnemu górnikowi!

Pewnie, że wstyd! Nie wykonać planu, gdy na nim opiera się cała gospodarka Polski — klarować mi

sztygar — to to samo, co w rodzinie, gdy się przytrafi jakiś nieporządny syn. Wszyscy pracują, a tamten ślimak pieruński obija się i domowników okrada!...

Górnika ma w głębokiej pogardzie tych wszystkich, którzy są zakałą jego zawodu. Nie chodzi w tym wypadku tak bardzo o zmniejszony zarobek, jeżeli jeden i drugi bumelant „strzeli szychta”, nie przyjdzie do pracy lub zaszyje się podczas pracy na dole w jakiś boczny chodnik, by przeleżeć szychtę na okorku. Jemu chodzi o wstyd, że w cenionym i szanowanym cechu górniczym o kilkusetletniej tradycji, znalazł się taki wyrodek. Nie mniej w głębokiej pogardzie miewa tych wszystkich — zwłaszcza dzisiaj — którzy nie umieją docenić wspólnego wysiłku w kopalni, niszczą materiał pomocniczy, drzewo, maszyny, mitręją czas, nie umieją się podporządkować dyscyplinie pracy, usiłują być pasożytami. Słowa Towarzysza Bieruta były twarde, lecz słuszne. Każdy górnika, ten prawdziwy górnika, przykłada im i powie, że to były słowa jakby z jego serca wyjęte, gdyż tytyli się tych wszystkich „mamlasów”, którzy albo jeszcze nie dorosli do stanu górniczego, albo dorastają niemrawie, albo też nie chcą dorósć.

Codziennie wielka armia górnicza jeździ pod ziemię, druga wyjeżdża na powierzchnię. I codziennie ta armia wygrywa walkę. Wygrywa ją jednak tak długo, jak długo w jej szeregach nie ma maruderów i ciurów obozowych, włokących się gdzieś na tyłach. Jeżeli w roku 1950 plan został wykonany z nadwyżką, bo w 102 proc., a w następnym roku obniżył się do 101,2 proc., było trzeba przypuszczać, że ilość maruderów i ciurów — którzy wszędzie są i wszędzie włoką się w ostatnich szeregach — wzrasta. Wykonanie planu w ubiegłym roku tylko w 98 proc. dowodzi, że „namnożyło się tech przeróżnych mamlasów pieruńskich — jak to określił mój przyjaciel sztygar z „Kleofasa” — różnych giszów i bumelantów, i śmierzdiobótek, i teraz robią wstyd, aże wstyd porządnemu górnikowi!”

Niezaprzeczenie, że za jedną z przyczyn niewykonania planu w roku ubiegłym należy uważać owo przedstawianie się górnika pracującego dotychczas „piką” i ręcznym świdem, na górnika maszynistę. Pamiętam, byłem jeszcze chłopcem, gdy do naszej kopalni sprowadzono pierwszą wrębówkę. Wszyscy patrzyli na nią nieufnie, spode łba, pogardliwie. Nazywali ją „pieruńskim kozidłem”. A

gdy w końcu, po odejściu instruktorów, wypadło nioć pracować, nie było ochotników wśród starszych górników. Młodzi się zgłosili i ci młodzi przekonali z czasem wszystkich niewiernych Tomasów, że warto się z nią oswoić i warto ją cenić. Ów proces jednak trwał dosyć długo i trwa do dzisiaj. Nie wynika jednak stąd, że stosunek starszego pokolenia górniczego do mechanizacji pracy w kopalni jest negatywny. Jest tylko nieufny, niedowierzący, wyczekujący. Gdy się w końcu jeden z drugim przekonają, że maszyną w kopalni wyręcza ich w fizycznym wysiłku, stają się jej wielbicami.

Ów proces przedstawiania się górnika — „rękodzielnika” na górnika-maszynistę jest normalny, lecz nieistotny i kiedyś się skończy. Chodzi o to, by go przyspieszyć. To już zależy od kadry dowodzącej w kopalni, o której mówił Towarzysz Bierut, i od miejscowych czynników partyjnych, od ich taktu, wiedzy fachowej, troski o człowieka i maszynę, postawy politycznej i autorytetu.

Groźniejszym zjawiskiem jest bumelantstwo i ów ponury spadek z czasów kapitalistycznych, brak poczucia wspólnoty mojej pracy z warsztatem pracy. Dawniej kopalnia była „pańską” kopalnią, stosunek uczuciowy górnika był do niej, jeżeli nie obojętny, to raczej negatywny. W ciągu jednej doby nastąpił przewrót, kopalnia stała się własnością społeczną, lecz pozostały stare nawyki myślowe i uczuciowe, które z trudem trzeba wykorzeniać. Owym nawykiem holdując owi maruderzy i ciury obozowe.

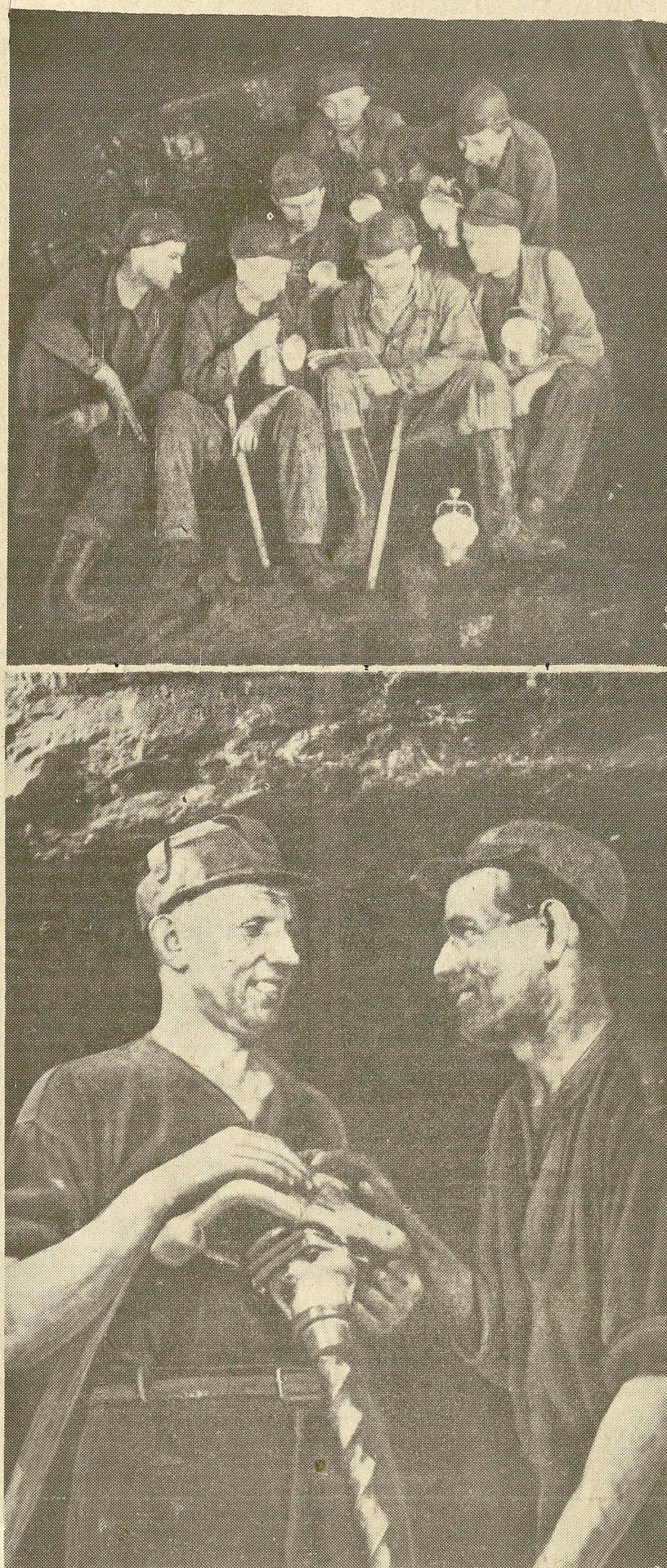
Bardzo prosto tłumaczył mi to wszystko w bramie kopalni mój przyjaciel, stary sztygar z „Kleofasa”.

— A jak myślicie? Jak się to wszystko skończy? — zapytałem.

Sztygar pomyślał, splunął — gdyż żuł tytoń — i powiedział twardo:

— Dobrze się stało, że Towarzysz Bierut użył takich mocnych słów. One więcej znaczą, aniżeli ustawiczne narzekanie, przekonywanie i cackanie się z takimi giszami. O, jakby ktoś mocną pięścią w stół wyrzucił! To nam się podobało... I to poskutkuje! I zobaczycie, że ci wszyscy, którzy dotychczas tego nie umieli, czy nie chcieli rozumieć, iż stanowią górnictwu nie wolno przynosić ujemny i wstyd, teraz nareszcie zrozumieją. I oto ręka moja — dodał, podając mi swoją chropowatą dłoń — że choćby wszyscy pieruni, ale plan tegoroczny będzie wykonany z nadwyżką!...

Gustaw Morcinek



LESZEK MECH

W KOPALNI „EMINENCJA”

Na kopalni huczało jak w ulu. Górnicy starzy i młodzi kłócili się pojedynczo lub grupkami, niejednemu zawzięcie gęsykuowali, inni stali zaciemnieni i czupni.

— Powiedzieć sam, Ludwiku. Gdzie tu nasza kasa? Chleb podraża i koszuje 3 złote za kilogram, a zarobek godzinny podwyższył o kilkadziesiąt groszy. I to ma być proporcjonalnie?

Górnika, który tak mówił, stał obok mnie. Głos miał chrapliwy, uśmiechnięty, potrząsał głową.

— Jak on się nazywa — zapytałem sąsiada. Mruknął coś pod nosem; było to albo nazwisko, albo przekleństwo, albo jedno i drugie. Spojrzałem dookoła, wszędzie tłum twarzą o roziskrzonych oczach i zacisniętymi ustami. Wszyscy czekali co powie Ludwik. Ten sięgnął do kieszeni i wyjął mały zatuszowany notesik. Ołowka nie mogła znaleźć.

— Nie ma kto z was kawałka ołowka?

Podano mu zaraz. Ludwik otworzył zeszyt i zaczął obliczać. Górnicy czekali w milczeniu, tylko ktoś za mną mówił do kolegi.

— Kazik, jedno ci powiem. Jeżeli uchwałę podpisał nasz Bierut, to musi być dobra.

Obejrzałem się. Młody chłopak, może nawet z zaciągu pionierskiego, uśmiechnął się do mnie. Ale Ludwik skończył już swoje obliczenia i podniósł głowę. Oczy poweselały, stały się jeszcze bardziej błękitne. Mówił wolno i każde słowo mocno akcentował.

— Obliczałem towarzysze, ile dostanę dodatku i czy wystarczy na wyrównanie podwyżki cen. Wychodzi czterysta złotych. Dotychczas zarabiałem około tysiączka, a teraz przy takiej samej pracy otrzymam około 1400 złotych, a może i więcej. To samo dotyczy każdego z was.

Kilku górników wyciągnęło notesy i ołowki. Liczyli uważnie i szybko. Kolejny zaglądał niecierpliwie każdemu z nich przez ramię.

— Zgadza się.

Ładownic Ludwik Słusarz obserwuje uważnie wyrobodawcę, który stalowe ostrze ze świstem ciałem pokłada.

— Jeszcze metr wrebłu i norma zostanie przekroczona. Ho, ho... Nie tylko norma, ale i zobowiązanie. Nasze zobowiązanie.

Uśmiechnął się, bo Marian Bryła, rębacz przodowy na chodniku też się uśmiechał. Rozumieł się znakomicie bez słów.

Puszczona w ruch wiertarka zahaczała jak trzmiel w wąskim chodniku. Minuty płyną prędko, nawet za przedko. Otworzy już gotowe, teraz założenie ładunków i odstrząsać. Ruńca czarna ściana. Huk jak piłka potoczyła się korytarzem, silny podmuch uderzył nas w twarz. Zadzwończył pod bryłami węgielny potrzask. A węgiel na nich coraz więcej, coraz więcej... Rośnie wydobyć w kopalni „Eminencja”. Rośnie zarobki górników.

Przez kasami w kopalni panował ruch i gwar. Ci, którzy otrzymali już swoje zarobki musieli odpowiadać na liczne pytania. Twarze uśmiechnięte mówili wyraźnie, komu uchwała przyniosła korzyść.

Z kolegi Ludwik Słusarz i Józef Bryła pochylili się do ołenka. Kasjerka sprawnie odliczyła pieniądze. Ledwie znaleźli się obok, już pytał jeden drugiego.

— Ile?

— 397 złotych.

— Ja tyle samo. Hurra!

Podali sobie ręce uroczystie.

W styczniu każdy z nich zarobił 2.034 złotych.

W kilka dni po uchwale Rządu w biurze referenta współzawodnictwa przy kopalni „Eminencja” spotkało się wielu górników. Rębacz, ładownic, filarowcy, chodnikowcy...

Kazimierz Kasztalski, filarowiec z oddziału I, podszedł do referenta i wywrął prosto za mostu.

— Czy wiecie, towarzysze, dlaczego moc produkcyjną urządzeń górniczych nie jest wykorzystywana w całej pełni?

Referent milczał, zaskoczony pytaniem. Wtedy Kasztalski sam odpowiedział:

— Dlatego, towarzysze, że górnicy nie mają dokładnego planu. Tak, towarzysze, to fakt. Niewesoły fakt. Należy go jak najprędzej usunąć.

W kilka dni później znów równo u referenta. I znów Kasztalski podchodził do biurka.

— Znowu się uam coś nie podobają?

— Nie. Obecnie każdy górnika zna już plan, został on doprowadzony do przodków i z tego powodu można teraz osiągnąć znacznie większą normę. Moja brigada zobowiązuje się dać codziennie na filarze 3 tony węgla ponad plan. Czy jest to to, Dziedziewski?

— Nie. nie ma, fedruje.

— Towarzyszu — Kasztalski zwrócił się do referenta — proszę donieść, że wzywamy jego brigadę do współzawodnictwa.

Dziedziewski, zetempowcie, gdy doniesiono mu o wezwaniu, przyjął je bez namysłu. Jego brigada postanowiła dać codziennie 6 ton węgla ponad plan.

Kasztalski, kiedy mu o tym doniesiono, powiedział kilka słów, ale treść ich była bogatsza od niejednego przemówienia.

Na wyniki długo nie trzeba było czekać. Za ich przykładem poszli inni górnicy. Kopalnia „Eminencja” wysunęła się na czoło kopalni śląskich w pierwszych dwóch dekadach stycznia, wykonując 119,5 procent planu.

Leszek Mech

JULIAN STAWIŃSKI

W TYCH GAŁĘZIACH GNIEZDZI SIĘ WIELE PTAKÓW...

Rzymsko-katolicki stan posiadania w USA jest nie tylko, a raczej nie tyle owocem atrakcyjności, czy dynamicznej akcji kościoła, co gorliwego patronatu wielkiej finansjery. A jest to patron wprawdzie szczerobolny, ale i równie bezwzględny, równie wymagający co feudalni kolatorowie i fundatorzy, rozdawcy prebend, beneficjów, darowizn, zapisów. Toteż rzucając hojnie miliony i fortyfując penetrację katolicyzmu w społeczeństwo Stanów Zjednoczonych wielkie monopolu warują sobie zarazem przywileje, o jakich nie śnił nawet Filip Piękny i Ludwik XIV. Watykan otrzymuje inwestyturę banków nowojorskich na „rząd dusz”, ale większość udziałów w tym rządzie i głos decydujący w aparacie administracyjnym skupia w swym ręku kapitalistyczny suweren.

Już w połowie ubiegłego wieku b. Issac Thomas Hecker, twórca zakonu ks. misjonarzy od św. Pawła głosił konieczność amerykańskiej kościoła. Potępiła go za to kuria rzymska. W oym czasie Watykan trzymał każdą narodowość w osobnym getcie kościelnym widząc w tym utwierdzenie swej władzy. Ale hierarchia wyższa znalazła się niebawem w ręku grup finansowo silniejszych. I okazało się wkrótce, że ten typ przewagi wytwarza niebezpieczny brak jednolitości. Zagroźna sprzeczność wewnętrzna i w rezultacie grozi rozbiorem zwartego organizmu na mnóstwo podręcznych, słabych i skłóconych ze sobą frakcji. Jeszcze nie dalej jak w 1929 w takim Chicago na 253 parafie było 38 polskich, 35 niemieckich, 12 włoskich, 10 słowackich, 9 litewskich, 8 czeskich, 5 francuskich, 4 chorwackie itd. Dziś wskutek ujednolicenia należy to do przeszłości. Krag został domknięty, amerykańkizacja jest faktem zupełnym i nieodwołalnym.

Proces ten, proces kanonizacji amerykańskich form życia oraz ich wciąganie do władz centralnych Watykanu przybrał wieloraką, a wszechstronną postać. Na jednym biegnie występuje Bill Durbin z Riveldale, „Kowboj-ewangelista i Śpiewak Radiowy”, jak go określa miejscowa reklama; na drugim mnożą się nominacje kandydatów Spellmana — generalnego prokurenta Wall Street — na stanowiska naczelne; generalów zakonów (John Mix — Zmartwychwstańca, Mary Vera — siostrę Notre Dame, William Slattery — Zgromadzenia św. Win-

centego à Paulo), członków kolegium kardynalskiego etc. W USA wyższy kier jest w całości amerykański, a nazwiska Woźnicki, Atkieski, czy Klawowski tworzą tylko floresy wieloletniego sztytu. Polscy równie mało w nich co w nazwisku Adam-ski. Natomiast tyleż faszystów.

Kler niższy, wzięty do potrójnej ogień episkopatu, władz stanowych i federalnych oraz machin partyjnych, zdany jest na ich łaskę i niełaskę. W strukturze organizacji rzymsko-katolickiej nie istnieje wolność przekonań: w myśl kanonu 1386, duchowny nie ma prawa zabrania głosu publicznie bez zezwolenia swego ordynariusza. Głajszaltowanie szybko postępuje naprzód, a wraz z tym budowa głównej ideologicznej reduty imperializmu i kontrowolucji.

Zrywając wszelkie związki z wolnością i demokracją, a nie mogąc się jeszcze wyżyć ich, jako parawanu, kapitalizm za wszelką cenę szukał form zakampania, aby przyswoić swą nabytą już szpetną nagość. Wtedy to na skłnienie Jego Świątobliwości odciano ją w cały przepych szat liturgicznych. Każdy akt dolara był oddatą aktem łaski, nowa emisja akcji — akcją katolicką, a skroplone papieskim hyzopem rękawice oprawców czy politycznych włamywaczy stawały się bielsze ponad śnieg.

Na skrzyżowaniu 29 Ulicy i Madison Avenue stoi zaciszny pałacyk z białego marmuru, własność Johna Pienpont Morgana. Siedlisko cnót patriarchalnych i obyczajów równie surowych, jak te, którymi słynie „ramie duchowne” kapitalizmu. Siedlisko cnót i miejsce gorliwych pielgrzymek, odkąd oba ramiona, brachium seculare i brachium spirituale działają sprawnie i zgranie w myśl impulsów kapitalistycznej głowy. W tym względzie powstała już nawet długa tradycja i doświadczenie. Wiemy bowiem, że teorie „organizacyjnej” społeczeństwa wykoncypował na użytek wiernych sam Leon XIII.

Ramiona działają sprawnie, bez wahań i sprzeciwów jak przystoi posłusznym członkom. Komiwojażer Morgana, od Eisenhowera po ulicę nóg sprzedawcę krawatów, z równą obojętnością handluje dziecinnym pistoletem we własnym miasteczku jak uśmiecha dzieci na Korei, czy Malajach. O wyborze „objektu tranzakcji” decyduje bez reszty wysokość dywidendy. Podobnie Watykan. Nie produkuje wprawdzie własnych bomb atomowych, ale tym gorliwiej błogosławi cudze. W pracowniach kongre-

gacji i na tajnych konsystorzach kardynalskich wytwarzają swą niezniszczalną narzędzia zimnej wojny — wybuchowe „środki duchowne”. Pakowane w naczyńach dziwnego prawdziwego nabożeństwa, opatrzone marką fabryczną i stemplem „made in Vatican city” strzelają fajerkami, ekskomunik, orędzi i pouczeń, przenikają bąkylem szpiegowstwa i zdrady, ładują wśród dowodów rzeczowych w procesie krakowskim.

Z innym nieco bagażem ładował w Nowym Jorku kardynał Pacelli. Było to jesienią 1936. Purpurat wioził z sobą projekt gigantycznej transakcji. Za poparcie dla Franco ofiarował cały kontynent. Interes został szybko ubity: Roosevelt ogłosił „neutralność” USA, pierścienią dławiały Republikę Hiszpańską został zamknięty, Watykan objął duchową reprezentację dolara na obszar Ameryki Łacińskiej.

Reprezentował tam już poprzednio najwyższy stopień ciemnoty na ziemi. Analizy trzech czwartych ludności, stopa życiowa niższa niż w XVI wieku, a narzędzia uprawy roli te same co przed 400 laty; szmaragdowość jako codzienność form religijnych i obyczaje Borgia w metodach rządzenia — oto dorobek działalców misyjnej wszechpożądności na tych obszarach Watykanu. Jedynym darem, jaki przyniosła biała cywilizacja nieśczęśliwym swym katechumenom było koło, nieznane Atekom i Inkom. Lecz było to naprawdę i bez przenośni koło udręki. Watykan zwałczal oświatę, uprzedmiotowienie, wszelką myśl o poprawie poziomu życia ludności. Przyczyną wskazał pleban z malej mieściny na drugiej półkuli: „dziekanat myślenicki jest rolniczy i dlatego nie narażony na wstrząsy i pokusy”.

W latach dwudziestych uchwalono w Meksyku reformę rolną i nacjonalizację nafty. Był to dotkliwy cios dla Rockefellera, a cios podwójny dla hierarchii kościelnej: dobra martwej ręki tworzyły państwo w państwie, udziały naftowe również były poważne. Powstał wspólny front. Ekskomunikowano chłopów za przyjmowanie ziemi, rzucano interdykt na kopalnie państwowe; wyteżona aglacja z katalnie doprowadziła w końcu do krwawej kontrowolucji, siewie finansowanej także przez Standart Oil. W tym klimacie, „natchniony” przez matkę przeorysz klasztoru Spiritu Santu, niejaki Leon Torral zamordował „liberalizującego”

prezydenta Obregona. Następca Obregona ugął się wobec terroru.

Przykład Meksyku jest o tyle jaskrawy, że jest to kraj najbardziej wywołony spod wszechwładzy kleru. Gdzie indziej infuła, wsparta przez dolara, panuje bezapelacyjnie.

Pakt Roosevelt — Pacelli był pozornie zwycięstwem dyplomacji papieskiej. Mimo gromów miotanych w faszysty, Biały Dom wydał na jego żer półwysp Iberyjski i zgodził się, by księżę kościoła w dalszym ciągu szczyli na półkuli zachodniej wiarę w Hitlera. Rzecz jednak w tym, że urzędowe pioryuny waszyngtońskie były z gatunku zimnych ognió. Wielkie monopolu USA gorąco pragnęły wzięcia Francji w podwójny czy potrójny obstrzał, pragnęły nacisku na Gibraltar i krwawej rozprawy fuhrera z demokracjami Zachodu.

Po ustaleniu współrządu obu Ameryk przyszła kolej na resztę świata. Uwagę baczniejszych obserwatorów oddawna już zwracała niezwykle wielka ilość szkół misyjnych czynnych na terenie USA. Rabka tajemniczy odsłoniła sprawa zatargu misjonarskiego w Ugandzie. Akcja prowadzona przez placówki szeregu wyznań powodowała częste konflikty i niepokoję pomiędzy ludnością. Toteż angielska administracja kolonii zwróciła się do wszystkich etniczności misyjnych o dokonanie podziału nawracanych obszarów. Zgodzili się wszyscy — z wyjątkiem katolików. Doniosłym motywem były tu niewątpliwie ekskluzywizm i nietolerancyjność prozelityzmu rzymskiego. Ale był motyw głębszy. Bieg zdarzeń wykazał niebawem — z okazji działań wojennych — ściśle powiązanie katolickiej akcji misyjnej z wywiadem Stanów Zjednoczonych. Tak było na Oceanie Spokojnym, na całym Dalekim Wschodzie, tak było zwłaszcza w Chinach. Ksiądz Lelito miał licznych kolegów.

Gdy błogosławiony przez wszystkich arcycapłanów Zachodu Hitler wyruszył na pochod ku gruzom Berlina, gdy krew obrońców ludzkości uświecała okopy Stalingradu, a z pomroki dziejów wylaniał się cień szubienic norymberskich, w dalekiej Japonii faszystom gotował się również do skoku. Rolę Chorągwi Proroka, relikwii i fuhrera zarazem, odgrywał tam mikado, syn Słońca, bóstwo o pieknieku kraju. Konsolidując pozycję faszystów rząd zadekretował, aby

każdy bez wyjątku Japończyk w oznaczonych miejscach i dniach składał hold cesarzowi — bogu. Wśród stu dwudziestu tysięcy katolików japońskich zapanowało wzburzenie, kuria rzymska założyła protest. W odpowiedzi nadeszła oferta sojuszu. Oferta ta była ponętą, że rozplynęły się wspomnienia ofiar Nerona, papież „wchłoniął” pierwiastek boskości miłaka; a japońscy katolicy zostali pocuci, że taka właśnie forma ofiary z ich strony „miłsza będzie Bogu”, niż ślęganie po wzory do czasów pierwszych chrześcijan, kiedy to „nauka była drobny nasionkiem, nie zaś o wym wspaniałym drzewem dzisiejszym, w którego gałęziach gnieździ się liczne ptaki...”

Ptasia idylla miała swój ciąg dalszy: w marcu 1942 r. w Watykanie zjawił się okaz wielce egzotyczny — ambasador boskiego Hirohito. Zastrzeżenia Roosevelta uchylono stwierdzeniem, że „Kościoł Katolicki musi na pierwszym miejscu stawiać swe interesy duchowe”. Charakter tych interesów oświecił wymownie incydent timorski. W październiku 1943 r. Japończyk zajęli kolonię portugalską Timor. Między Lizboną a Tokio zawiła groźba wojny, alianci anglosascy czynili przygotowania do obsadzenia baz morskich w posiadłościach i portach Portugalii. Watykan jednak czuł się do wszystkich etniczności misyjnych o dokonanie podziału nawracanych obszarów. Zgodzili się wszyscy — z wyjątkiem katolików. Doniosłym motywem były tu niewątpliwie ekskluzywizm i nietolerancyjność prozelityzmu rzymskiego. Ale był motyw głębszy. Bieg zdarzeń wykazał niebawem — z okazji działań wojennych — ściśle powiązanie katolickiej akcji misyjnej z wywiadem Stanów Zjednoczonych. Tak było na Oceanie Spokojnym, na całym Dalekim Wschodzie, tak było zwłaszcza w Chinach. Ksiądz Lelito miał licznych kolegów.

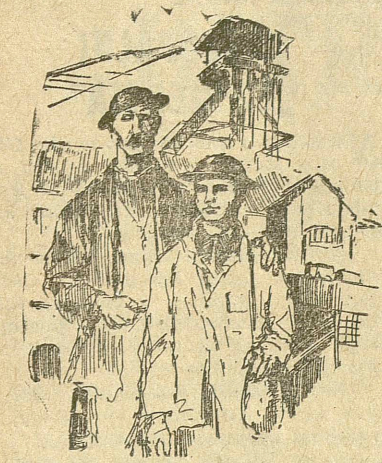
Na papieskim Olimpie gospodarzą bóstwa Walhalli i stare mity Azji, Hitler dostąpił pośmiertnej apoteozy, a w łożu honorowej zasiada Myron, Taylor, Allen Dulles i były adiutant Himmlera.

Quo vadis? „Jadę ku księżycowi...” O, nie! Minęły czasy romantyzmu. Sedes Apostolica jedzie ku atomowej bombie, jedzie ku wojnie, jedzie ku faszystom. Wpływów swoich i absolutnej władzy nad niższym klerem używa dla hamowania rozwoju narodów i kolonii i krajów zależnych, dla torowania drogi i umacniania ekspancji imperializmu Stanów Zjednoczonych. Przy budowie kolonialnego imperium USA zespół purpuratów rzymskich tworzy jedną z najbardziej aktywnych brigad.

Julian Stawiński

STANISŁAW SIEKIEŃSKI

Pierwsze starcie — pierwsze zwycięstwo



Maurice Thorez w latach chłopców

RYSZARD KORN

WYRZUTNIE I EISENHOWER

Karnawał 1950 r. nie różniłby się niczym od poprzednich, gdyby nie to, że amerykańskie jednostki okupacyjne postanowiły wprowadzić do jego programu fajerwerki nowego, niezwykłego typu. Obawiając się zdecydowanej postawy dokerów i robotników wielkich portów Francji, którzy wielokrotnie potrafili uładować w matym, zapuszczonym i przestarzałym porcie niemieckim, wyrzucić rakiet V 2 i partię pocisków, spodziewając się tym manewrem zmniejszyć czynność klasy robotniczej. Ale okazało się rychło, że robotnicy nieckiego portu nie są zwolennikami fajerwerkowych innowacji, oraz, że ich czynność i wola obrony pokroju jest równie silna jak ta, którą okazali ich towarzysze w innych portach Francji. Wieść o wydławaniu na molo pierwszych skrzyń z częściami wyrzutni rozeszła się lotem błyskawicy po robotniczym starym mieście. Zatrzymali się maszyni fabryk, stanęli tramwaje i trolejbusy. Rozpoczął się strajk protestacyjny. Setki robotników zaczęły napływać do portu, zapelniać molo. Zgromadzone dla ochrony cennego ładunku siły policji zmuszone były pod przemożeniem naporem mas wycofać się. Wystarczyło kilka minut, aby śmierzoności skrzyżnie, zepchnięte przez dziesiątki robotniczych ramion, zsunęły się z mola na dno portowego basenu. W ciągu następnej godziny wszystko powróciło do normalnego stanu. Zakurkowały znowu fabryczne maszyny, ruszyły tramwaje i trolejbusy, a wieczorem wystrzeliły na niebo ogień sztuczny, to prawdziwe, symbol pokojowej radości. Czynność i zdecydowana akcja niemieckiego ludu sprawiły, że wyrzutnia V 2 została na zawsze unieszkodliwiona, a statek wiozący resztę złowrogiego transportu chyłkiem wyszedł z portu.

*

„Jesień paryska okrywa całe miasto złotem. Promienie zachodzącego słońca padające na błyszczące liście stuletnich kasztanów napędzają ulice purpurowym blaskiem. W jeden z takich pogodnych jesiennych dni 1950 r. o godzinie szóstej po południu Pola Elizejskiego, serce eleganckiego Paryża zaległy jak zwykłe tłumy wytwornych przechodniów.

Nagle dzieje się coś niezwykłego. Wyjście metra, boczne ulice wyrzucają na Pola Elizejskiego grupy ludzi, od których obecności odrywa ich wytworna atmosfera. Robotnicze kurtki, spod których widać niebieskie kombinizony, wyszarzane piaszczyste czapki, przesuwały nagle w wytwornym dotąd tłumie. Padają pierwsze okrzyki: „Eisenhower go home!”, „Chcemy Pokoju!”, „Precz z podległymi wojennymi!”, „Wydobycie z zanadto robotniczej blizny rozpęszenia się pierwszej transparenty. To lud Paryża godnie przyjmuje nieproszonego gościa, który zjechał do Paryża, aby objąć do wodzostwa nad „zjednoczonymi” siłami atlantyckimi agresorów. Manifestując pod oknami hotelu „Astoria”, który generalnie obrat za swą tymczasową siedzibę, masę robotniczą Paryża dają wyraz prawdziwym uczuciom ludu Francji, pogromcy tyrantów, burzyciele Bastilii. Nie powiodły się próby policji, zmierzające do rozproszenia manifestantów. Na jej zwarte szeregi spadł grad brukowych kamieni, kawiarnianych krzesel i stołów. Pękła policyjna zapora. Już pierwszego dnia swego pobytu w Paryżu miał możliwość naczelnego zbadania uczuć, jakie naród francuski żywi dla niego i kół, które reprezentuje.

*

Stolica i prowincja — dwa epizody, dwa małe wyćmiaki wielkiej wspaniałej walki. Jeden po drugim półfaszystowskie rządy burżuazji francuskiej montują spisek przeciw wolności własnego narodu „Le grand complot”. I upadają jeden po drugim, nie mogąc sprostać zadaniu. Uginają się pod ciężarem: złoto waszyngtońskie jeszcze bardziej tylko przytłacza wątłe lokajskie ramiona.

A klasa robotnicza Francji wznosi coraz wyższy sztafandarz wolności demokratycznych swego kraju. Sztafandarz, na który pada już odłask J u

Ryszard Korn

W maju 1952 roku wybitny pisarz francuski, naczelny redaktor „Humanité”, laureat Nagrody Stalinowskiej, André Stil, został aresztowany na rozkaz reakcyjnego rządu francuskiego, pozostającego na usługach amerykańskiego imperializmu. Każdy z nas pamięta ogromne oburzenie, jakie wywołał ten fakt w opinii całej postępowej ludzkości. Trzeba było zdecydowanej postawy prawie wszystkich narodów świata, trzeba było zorganizowanej akcji protestacyjnej, aby André Stil został uwolniony, aby mógł wrócić do swej pracy, do swej działalności.

Czym zasłużył sobie autor „Pierwszego starcia” na taką popularność wśród najszerzych mas ludzi na całym świecie i jednocześnie na taką nienawiść amerykańskich imperialistów i ich służalców?

Stil jeszcze przed wojną wstąpił do Komunistycznej Partii Francji; podczas okupacji walczył w szeregach bohaterskiego Ruchu Oporu. Po wojnie poświęcił się pracy politycznej, publicystycznej i literackiej; jest członkiem Biura Politycznego KPF, naczelnym redaktorem centralnego pisma Partii. Dwie pierwsze książki Stila znane są w polskich tłumaczeniach; są to: „Wola i gniew” — z życia francuskich górników oraz „Sekwana sphywa na morze” — „książka opowiadań w obronie pokroju”, jak ją nazwał sam autor. W ciągu ostatniego okresu Stil pracuje nad trylogią, której pierwszą część, wyróżnioną Nagrodą Stalinowską, pt. „Pierwsze starcie” o trzydziestu rozdziałach w polskim przekładzie. (Druga część pt. „Występ armatni” została już opublikowana w jęz. francuskim; część trzecia będzie nosiła tytuł „Paryż z nami”). „Powodów” było więc aż nadto dla francuskiego „działacza kulturalnego” i ich mocodawców, aby André Stila uznać za człowieka „niebezpiecznego” i poznać go wolało.

Stil jest wrogiem reakcji francuskiej i międzynarodowej, wrogiem nosicieli faszyzmu i zdrady narodowej, wrogiem amerykańskich okupantów. Wrogość ta wypływa z głębokiego humanitaryzmu proletariackiego, z żarliwego umiłowania narodu francuskiego i jego produkcyjnej siły — klasy robotniczej. Walka w obronie suwerenności narodowej i walka o wyzwolenie francuskiej klasy robotniczej — oto naczelną sprawę życia André Stila, z których zrodziła się jego wspaniała powieść „Pierwsze starcie”, jedno z najwybitniejszych osiągnięć współczesnej literatury postępowej.

Pierwsze rozdziały powieści Stila wywierają na czytelnika wprost

*) André Stil, „Pierwsze starcie. Pod wieżą cieniów — Czytelnik, W-wa, 52, tłum. Jerzy Lisowski.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

W postępowej literaturze rosyjskiej XIX wieku opowiadania zajęły zaszczytne miejsce. Początek stały realistycznej powieści, w centrum zainteresowań sprawy „małego człowieka”, zbiegi się z narodzinami nowego typu opowiadania. Gawędy, rzekomo opowiedziane przez Bielkina, urosły pod piórem Puszkina do rozmiaru arcydzieł narracji i wiedzy o historii konkretnym człowiekiem. Lermontow, Gogol, Turgieniew, Lew Tołstoj, Saltykow-Szczedrin, Leskowski, Uspenski, Mamin-Sibirski, Czechow, Garszin, Korolenko i Gorki stworzyli szkołę małej formy prozatorskiej, nacechowanej szlachetną i żarliwą tendencją społeczną, a wysocą kunsztowną w wykonaniu.

Opowiadanie radzieckie mogło zatem oprzeć się o nie tylko jak tradycję, a jednocześnie szerzej niż dotąd w historii literatury rosyjskiej wprowadzić na swoje karty już nie pojedynczych bohaterów, ale szerokie masy ludowe.

Dziś opowiadanie radzieckie liczy tysiące pozycji. Bogactwo nowej tematyki urozmaiciło także formy narracji i pozwoliło pisarzom przedstawić w pełni kraj radziecki i jego twórców, miliony prostych ludzi. Gorki, Bażow, Fiedin, Prizwin, Malyszkin, Gajdar, Dzikowski, Pawlenko, Tichonow, Kożennikow, Grossman, Polewaj, Paustowski — oto, bynajmniej jeszcze nie wszyscy, mistrzowie radzieckiego opowiadania.

Wychowawcza rola radzieckiego opowiadania wystąpiła z całą siłą w okresie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W tych trudnych latach opowiadanie miało zadanie mobilizujące. Toteż uzyskało szczególną popularność i nie schodziło ze szpał gazet i pism przyfrontowych. Jako czytelnicy osiągnięcia tego okresu zanotować należy „Opowiadania Iwana Sudarewa” pióra Aleksieja Tołstoj.

Ale po wojnie opowiadanie nie utraciło swojej wysokiej pozycji. Czy zmniejszyły się zainteresowania czytelników, czy uległ zwężeniu zakres tematyczny? Bynajmniej. Okres wielkich budowl i komunizmu postawił przed literaturą nowe zadania, ale jak dotąd pisarze odpowiadają na nie głównie reportażem.

Wytworzyła się błędna teoria, że mała forma warunkuje „małą” treść,

przyniebiające wrażenie. Jesteśmy świadkami nędznej wegetacji całych rodzin w cuchnących, ciemnych i zimnych barakach; „pośród zgiełku” słyszemy skargi matek, bezradnie wobec głodu i zimy. Obserwujemy przybrane dziecko, uciekające od rodziców w obawie, że za kilka dni staną wszyscy przed perspektywą codziennej głodówki; przeżywamy serdeczną mękę i wstyd ojca, który „nie może zarobić na jedzenie dla swego dziecka”. Komunisty — bohaterowie powieści Stila doskonale sobie zdają sprawę z celów tej taktyki reakcji amerykańsko-francuskiej. „Nedza — mówi jeden z nich — nedza to jest chloroform do uspienia pacjenta przed operacją”; „Ale ta nedza — formuluje inny — nie spada przecież z nieba, nedza Amerykanie wysłali na zwiady jako przednią straż”. Polityka nowych okupantów zmierza do złamania oporu dokerów, zmuszenia ich do podjęcia w dniach klęski głodowej każdej pracy, nawet wyładunku broni amerykańskiej. Stil zarysował niezwykle sugestywny obraz przenikania tej amerykańskiej „przedniej straży” do portowego miasteczka La Pallice. Ten obraz nedzy, bezrobocia, ostatecznego wyłączenia od głodu i bezczynności, wstrząsa czytelnikiem w pierwszych rozdziałach do tego stopnia, że sugeruje wprost beznadziejność sytuacji. Lecz dalsze rozdziały wrażeń to całkowicie likwidują; książkę odkładamy z głębokim przekonaniem, że siła narodu francuskiego i jego Partii jest niezwykła, że wszystkie niepowodzenia i klęski, które przeżywa francuski dokerzy i ich rodziny pod okupacją amerykańską, nie tylko nie zalamują ich solidarności i patriotyczno-rewolucyjnego protestu, ale wprost przeciwnie — hartują do walki o suwerenność narodową, o wyzwolenie klasy robotniczej. Po przeczytaniu powieści Stila przychodzi nam myśl słowa Malenkowa wygłoszone na XIX Zjeździe KPZR, w pełni pokrywające się z wnioskami, jakie wyciąga czytelnik z „Pierwszego starcia”: „Należy przypuszczać, że w krajach skazywanych na rolę powolnych pionków dyktatorów amerykańskich, znajdują się prawdziwie pokojowe, demokratyczne siły, które będą prowadzić własną, samodzielną, pokojową politykę i znajdą wyjście z tego ślepego zaułku, w który upadli dyktatorzy amerykańscy.”

Aby zrozumieć prawdę historyczną zawartą w książce Stila, aby zrozumieć słuszność i dalekosiętność wniosków wysuwanych przez pisarza francuskiego, które w kilkanaście miesięcy później potwierdził XIX Zjazd KPZR, trzeba głębiej przeanalizować czynniki, które złożyły się na to, że powieść André Stila ma dla nas znaczenie tak ważne i tak prawdziwie ideowe i artystycznie dokumentu historycznego.

Że środkami opowiadania nie da się udźwignąć wielkiego tematu. Teoria na wskroś fałszywa. Krytyka radziecka uderzyła na alarm. „Literraturnaja Gazeta”, zwołując teoretyczną, zauważyła: „Sens myślnego rozumowania zasada się na mniemaniu, że wszystko to, co z racji swej małej wagi nie może stać się materiałem albo fabułą powieści, zagarnia „w swoje sieci” opowiadanie. Jest to sąd niesłuszny. Ale skoro istnieje taka „koncepcja” i oddziaływanie na prozatorów, wynikiem fałszywego założenia musi być obniżenie poziomu i pewna jednoznaczność opowiadania, która dała się niedawno zauważyć. Tymczasem opowiadanie to nie fragment obrazu, ale cały obraz. Zasięgają one na wagę pisarza i umianie czytelnika jako pełnowartościowy gatunek sztuki... Oczywiście, należy brać pod uwagę specyfikę tego rodzaju literackiego, nie można żądać opowiadania olbrzymiej motywacji, rozumiałej w utworach wielkiego formatu, nie można przeladować narracji zbędnymi szczegółami”. K. Fiedin powiedział: „Opowiadanie jest jak pokój, który nie może być przeludniony”.

W trosce o przetrwanie opowiadania właściwej rangi w literaturze i ponowne zdobycie popularności wśród czytelników, krytyka zwróciła większą uwagę na ten krzywdzony ostatnio gatunek. Ukazał się trytomowy wybór opowiadań radzieckich „Ogoniok” przeprowadził masowy konkurs na opowiadanie. Opowiadania pojawiły się w wielu popularnych pismach takich jak „Zmiana”, „Radziecki Żołnierz”, „Robotnik”, „Młody Kolchoznik” itp. Tu obok rzeczy miernych znalazły się opowiadania naprawdę napisane z talentem, a co najciekawsze, niezawodnym piórem.

Krytyka radziecka słusznie stwierdza, że opowiadanie ma ogromną zdolność okazywania wzrostu i przemian ludzi radzieckich w wielkich budowlach komunizmu, zdolność uchwycenia pierwszych rysów rodzącej się komunistycznej psychiki.

W tym odkrywczym zakresie opowiadanie i u nas ma ogromną rolę do spełnienia. Na ogromnym placu budowy socjalizmu może być potężnym reflektorem, oświetlającym nowych ludzi i powstające między nimi stosunki. Dlatego też interesować nas muszą losy opowiadania radzieckiego i rozważania kry-

tyki, ujawniające tajniki narratorskiego kunsztu.

Pouczające mogą być dla nas rozważania popularnego w Związku Radzieckim nowelisty, Sergiusza Antonowa, drukowane ostatnio na łamach „Literraturnej Gazety”. Antonow analizuje plon najczęściej „niezawodowych” opowiadań „Ogonioka”.

Uwagi Antonowa ujęte zostały w formie listów do autorów analizowanych opowiadań. Zatrzymajmy się najpierw nad sprawami idei i obrazu artystycznego, charakterystyki postaci, cech typowych i indywidualnych. Antonow pokazuje na przykładzie najciekawszych opowiadań Czechowa i Gorkiego, że idee utworu artystycznego czytelnik poznaje poprzez obraz artystyczny, poprzez literacką postać. „Tym właśnie — pisze Antonow — różni się artystyczne dzieło na przykład od filozoficznego traktatu, że w artystycznym dziele abstrakcyjna idea przybiera kształt, przemienia się w człowieka. Rezultatem twórczości artysty jest idea, która stała się ludzką postacią, działającą osobowością, przedstawicielem określonych idei swojego czasu, jak mówił Engels”.

Ale ten proces obcy jest beznamietnej kontemplacji, nie sprowadza się do bezstronnej obserwacji życia. Pisarz wyborywa i zastrzażył te cechy postaci, która ją najbardziej charakteryzuje z punktu widzenia ideowych zadań opowiadania. Postać traci swój „prywatny” charakter, zmienia się w typ. „Typowość — mówił Malenkov — odpowiada istocie danego zjawiska społeczno-historycznego, nie jest zaś po prostu zjawiskiem najbardziej rozpowszechnionym, najczęściej się powtarzającym, powszechnym. Świadome przejawienie, wyostrenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszej mierze ujawnia ją i podkreśla”.

Ale typowość nie wyklucza cech indywidualnych. Ujemnym zjawiskiem wielu naszych opowiadań — zauważa Antonow — jest to, że bohater albo zostaje obdarzony tylko typową cechą i wtedy staje się schematyczny, albo posiada cechy wyłącznie indywidualne. W drugim wypadku bohater traci ideowy wymiar, staje się społecznie nieciekawy. Zewnętrzna charakterystyka musi zbiegać się z psychologią bohatera. Dobrym zabiegiem jest charakteryzowanie postaci poprzez opis

kupacji jest szczególnie ostra, jak to podkreślił niedawno Erenburg, tam, gdzie Amerykanie budują swoje bazy wojenne, „twierdze”, wokół których, wbrew ich zamiarom i woli, skupia się ludność najbardziej wroga i przeciwna ich poczynaniom. Kierując się słusznym rozumieniem typowości, w takim właśnie punkcie Stil umieścił swych bohaterów, rysując jednocześnie ostry konflikt, w jaki popadają Amerykanie nie tylko z klasą robotniczą, ale z większością ludności Francji, gdzie bezpośrednio naruszają jej niezależność narodową, jej możność dysponowania swoją własnością.

„Pierwsze starcie” ukazuje więc przede wszystkim organizowanie przez KPF potężnego antyamerykańskiego frontu narodowego. Przeciąga ono w różny sposób na różnych odcinkach pracy. Wyzbywając się szkodliwego sekciarstwa, dokerzy bratersko pomagają niezorganizowanym w związku zawodowym, zwanym w związku zawodowym, nie wykluczając ich przecież z życia walczącego kolektywu. Z drugiej strony, komunisty umieją zjednać dla idei frontu narodowego warstwy drobniomieszczanstwa, zagrożone w swym stanie posiadania przez okupację amerykańską. Tak na najbardziej szkodliwych odcinkach walki miasteczka La Pallice przedstawia Stil siłę i słuszność taktyki KPF.

Zacytujmy dwa przykłady. Stil ukazał, jak likwidowanie lokalnego szowinizmu, ciasnego zasklepienia się w sprawach związkowych przyczyniło się do wzrostu zaufania bezpartyjnych do partii. Przecież właśnie szeroka, oddolna dyskusja wciągnęła w orbitę zainteresowań bezpartyjnych także te sprawy, które wydawały się im dotąd zupełnie obojętne. Ta szeroka dyskusja ujawniła słuszne stanowisko Komitetu Centralnego, ukazała szeregowym partyjnym i bezpartyjnym konieczność walki tak z rodzimą reakcją i okupacją amerykańską, jak i remilitaryzacją Niemiec, jako zjawiskami na pozór różnymi, ale jednakowymi. Ale prawdziwy obiektywizm zawiera w sobie historię rodziny „pana Ernesta”. Tych dwoje starszoków uczciwych i spokojnych, uważających dotąd za nietykalny towarzyski spotkanie się z robotnikami, w obliczu wyrzucenia przez okupanta z domu, postawionego własnymi rękami, przystępuje do akcji organizowanej przez komunistów, jako do jedynie realnej siły stającej w obronie ich społecznej własności.

Słusznie podnosili nasi krytycy ułóstwo dyskusji ideologicznych i intelektualnych w naszej współczesnej prozie. „Pierwsze starcie” może posłużyć wielu naszym pisarzom jako przykład trafnej rozwiązania tego trudnego problemu. Na szczególną uwagę zasługują tu dwie dyskusje — w baraku związkowym i na zebraniu połączonych komórek partyjnych. Niezmiennie ciekawe jest to zebranie partyjne (pię-



André Stil

ta achillesowa naszych współczesnych powieści). Rozdział zatytułowany „Protokół Biura Politycznego” czyta się z prawdziwą satysfakcją. Dyskusja ta, to nie naiwne, z góry zbanalizowane formułki „za” i „przeciw”, a w końcu długa tyrada hura — rewolucyjna, ale naprawdę głębokie ścieranie się zdań przemysłowych i uwarunkowanych przede wszystkim charakterem i stopniem uświadomienia wygłaszającego. Nawet głosy niektórych dyskusyjantów w relacji Stila zawierają w sobie tyle niepokoju, że czytelnik mimowolnie czeka na odpowiedź ludzi bardziej kompetentnych i odpowiedzialnych, którzy w końcu właściwie wyjaśnią sprawę. Wnioski dyskusji, to nie gładkie slogany, a leżąca głęboko analiza sytuacji międzynarodowej i portu La Pallice. Czytelnik zostaje w pełni przekonany, że dyskusanci naprawdę zrozumieć istotę wskazań Biura Politycznego i wynieśli z zebrania prawdziwy pożytek. W tym tkwi na pewno triumf pisarza — agitatora.

W „Pierwszym starciu” obserwujemy także jak poprzez dyskusję ideologiczną wraść świadomość wieloofiarnych członków Partii. Stil nie idzie tu na łatwizny; ukazuje trafnie to bardzo specyficzne zapożyczenie teoretyczne działaczy robotniczych w warunkach kapitalistycznych w porównaniu do ich ostatecznej i bezkompromisowości. Stil rysuje także bardzo istotne w teoretycznej działalności Partii kierowanie żywiołowego buntu i gniewu robotników na właściwe tory rewolucyjne. Na kartach „Pierwszego starcia” kilkakrotnie obserwujemy wystąpienia „żywiołowych”, gotowych w tej chwili do „wzięcia Amerykanom porządnego łupnia”, do spuszczenia im „tego łania”, do zaplątania się w awanturę wojenną, bez oglądania się na losy milionów ludzi. Stil przekonywająco ukazał pracę Partii nad podniesieniem teoretycznej świadomości tych „żywiołowych”.

Subtelne wnikiwanie w najdrobniejsze sprawy produkcyjnej siły narodu — Partii, stanowi na pewno i specyfikę i urok powieści Stila. Tego mogą się od niego uczyć nasi pisarze.

W konstrukcji swojej obszernej trylogii Stil nawiązuje wyraźnie do twórczości Erenburga i Aragona, do stworzonej przez nich socjalistycznej „powieści politycznej”, z tym jednak zastrzeżeniem, że wzorom swym nie zawsze dorównuje. Robienie kompozycyjne utworu na poszczególnych częściach, odzwierciedla, mając w sobie pomieszczenie całokształt życia portu, mimo swych wielu pozytywnych, pociąganych za sobą nieraz obniżenie dynamizmu całego tomu, przetrzymując główny punkt ciężkości na poszczególnych rozdziałach, tym samym autor osłabił bardzo wyraźnie uwagę czytelnika skierowaną przeciwko całości, zagadnieniom, o których go bezpośrednio, emocjonalnie zainteresowanie osobami bohaterów.

Zarzut ten formułowany jest jednak o tyle na wyrost, że znamy za ledwie pierwszy tom trylogii; możliwe więc, że dalsze tomy błęd nie może zlikwidować, gdyż pod koniec „Pierwszego starcia” widzimy już jak podsumowanie poszczególnych rozdziałów tworzy końcowy, pełen optymizmu obraz zwycięstwa dokerów.

Mimo tego, że autor nie podał karty personalnej swych bohaterów, wiemy o nich niejednokrotnie więcej, niż gdybyśmy znali ich tasemcowe zyciorysy. Ilek sympatii i ciepła skupia w sobie ten wydawałoby się gruboskórny Leon. Jakżeż ciekawa, pełna inteligencji postać, jest Paul, mimo że autor wcale nigdzie tego nie sformułował w swoim komentarzu. Gorzej wypadł Henri, jeden z czołowych działaczy partyjnych; mimo wielu dobrych scen, pozostał trochę szablony. Książka obfituje we wspaniałe skróty sytuacyjne, wnosi wiele momentów prawdziwego humoru. Napisała żywo i interesująco, stanie się na pewno ulubioną lekturą polskiego czytelnika. Należy z uznaniem podkreślić inicjatywę wydania tego tomu w masowym nakładzie w cenie po 2.40 za egzemplarz.

*

Książka Stila winna przyczynić się do zrozumienia przez tych naszych obywateli, którzy jeszcze dotąd mają jakikolwiek złudzenie co do korzyści przyniesionych przez „wolną Amerykę”, jakie skutki ekonomiczne spowodował plan Marshalla, jaką rzeczywistość dla ludności Europy zachodniej gotują przygotowania wojenne. „Pierwsze starcie” przynosi czytelnikowi polskiemu bogaty zasób wiedzy o życiu robotników francuskich, o działalności ich partii, o nieubłaganej walce z amerykańskim okupantem. Jest wspaniałym dokumentem poznawczym i artystycznym nowego francuskiego Ruchu Oporu.

Stanisław Siekiński

(dokończenie na str. 7)

